Nr. 19. Warszawa, dnia 9 Maja (27 Kwietnia) 1891 r. Rok XI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

SZPETNA KARTA.

Skoro tylko, po odkryciu podarku dla teścia Böttichera, jedna sztuka inwentarza, karmionego funduszem Welfów, wywleczona została przez prasę i okazana publicznie, nie ulegało już wątpliwości, że rząd musi dać jakieś wyjaśnienie w przedmiocie pieniędzy skonfiskowanych królowi hanowerskiemu. Dręczony odrazą do tego źródła, nad którem dozór narzucają mu obowiązki urzędu, chcąc zamknąć usta dziennikom, schwycił Caprivi pierwszą lepszą sposobność i *a propos des bottes* poruszył w sejmie niemieckim ową drażliwą sprawę. Po znanej jego prawości i czystości moralnej można było się spodziewać, że poprzestanie na ogólnem przedstawieniu rzeczy, nie usiłując bronić tego, co się obronić nie da. Kanclerz jednak nie zamknął swej mowy w obrębie sprawozdawcy i rozszerzył ją w kierunku adwokatury. Może chciał być rycerskim względem swego poprzednika, może pragnął przed narodem i zagranicą ocalić honor rządu, może wreszcie otrzymał takie polecenie ze strony cesarza, dbającego o to, ażeby pamięć jego dziada nie ucierpiała od napaści na Bismarka, który cieszył się zupełnem jego zaufaniem. Wolno nam wszakże odsiać sofizmaty i zebrać tylko ziarna prawdy. A są między niemi bardzo cenne i pomocne dla poznania zarówno czasu, w którym żyjemy, jak Niemiec, które na nim wyciskają swe piętno.

Dzięki tedy wyznaniom Capriviego dowiadujemy się, że procenty od kapitału (48 milionów marek), skonfiskowanego królowi hanowerskiemu, mające służyć do „zwalczania intryg Jerzego V i jego agentów,“ rozdzielane były między trzech ministrów: skarbu, spraw wewnętrznych i (w największej części) zewnętrznych (Bismarka), którzy przy końcu roku składali rachunki królowi, paląc jednocześnie wszelkie dowody. Skutkiem zniszczenia kwitów, niepodobna dziś stwierdzić, jak i na co używano tych pieniędzy. Ponieważ król Jerzy umarł w r. 1878 i ani on sam, ani jego agenci nie mogą prowadzić „intryg,“ dla utrzymania więc zastrzeżonego w pierwotnym akcie tytułu, pod którym miały być wydawane odsetki z jego majątku, do bezpośrednich dodano wpływy „pośrednie.“ Nie chodziło więc o jego knowania, ale o najdalsze ich skutki. Tak np. detronizacya króla hanowerskiego pozostawiła w kraju niezadowolenie; to niezadowolenie mogło się przerodzić i rozszerzyć jako niechęć w innych państwach Niemiec, objawić się jako opozycya w sejmie, zatem Bismark z funduszu Welfów utrzymywał prasę gadzinową dla spotwarzania i dyskredytowania ludzi mu nieprzyjaznych. Z tychże środków założono w Hanowerze koszary, które na pozór nie wiązały się niczem z intrygami nieżyjącego króla; ale Bismark dowiódł, że wojsko, rozmieszczone po domach, mogłoby ulegać złym wpływom ludności, przywiązanej do swego monarchy. Z tego źródła opłacano szpiegów za granicą, co także na pierwszy rzut oka nie miało żadnej łączności z intrygami króla Jerzego, ale jego pogromca zwrócił uwagę, że bakterye działań tego władcy weszły do uczuć dworów europejskich i wywołały w nich nienawiść przeciw Prusom, którą należało śledzić i pokonywać pieniędzmi Welfów. Słowem, wszystko dało się podciągnąć pod kategoryę „pośrednich“ knowań nieboszczyka, a gdyby nawet z jego kasy kupiono kilka folwarków Bismarkowi, bez trudu dopasowanoby ten prezent do ogólnej zasady, bo przecie kanclerz, jako główny obrońca Prus, przez powiększenie majątku zyskiwałby na sile, tak potrzebnej dla państwa.

Pomimo wszakże tej cudownie rozciągliwej logiki członkowie obecnego rządu — jak oznajmia Caprivi — „jednomyślnie“ zgodzili się, że trzeba funduszowi Welfów nadać inne przeznaczenie, zawiadywanie nim uczynić „bardziej przejrzystem“ a narodowi pozwolić „zaglądać“ w maszynę i „kontrolować“ ją. Ale rząd nie zdołał dotąd opracować planu nowej gospodarki, gdyż sprawa jest trudna i wikła się zwłaszcza jednym kłopotem. Mianowicie etat ministerium spraw zewnętrznych wyznacza tylko 48,000 marek na „wydatki tajemne.“ Chociaż jesteśmy ludźmi stronnymi i rozsądnymi — powiada Caprivi — tak drobną sumą nie zdołamy opędzić naszych „potrzeb“ sekretnych. „Gdybyśmy na niej poprzestali, *pewną część* naszej polityki musielibyśmy zahamować i sprowadzić następstwa, za które nie możemy przyjąć na siebie odpowiedzialności.“ Sumę tę należy co najmniej dziesięćkroć powiększyć. Dotąd uzupełniono ją z funduszu Welfów, ponieważ zaś innego źródła brak, musi więc nadal być zachowana w pewnej mierze idea „pośrednich intryg“ króla Jerzego, która pozwoli czerpać z jego kasy na cele „tajemne.“ Naturalnie, niech parlamentowi nie przyśni się czasem, ażeby i w tych rozchodach zapewniona mu była „przejrzystość“ i kontrola. „Są to bowiem — nadmienia Caprivi — wydatki bardzo delikatnej natury. Istnieją pensye, płacone w rozmaitych miejscach, wprawdzie bez zobowiązania prawnego, ale opłacani muszą mieć wiarę, że je nadal otrzymywać będą. Są instytucye, które również odbierają sekretne zasiłki... Niepodobna zaś tu żądać od nikogo pokwitowań... Nigdy też sejm o tych tajemnych wydatkach nie dowie się ani jednego słowa.“

Tembardziej my musimy wyrzec się daremnej ciekawości, gdzie, kogo i za jaką cenę niemieckie ministerium spraw zewnętrznych przekupuje. Ale też jest to kwestya podrzędna. Główna spoczywa w publicznem odsłonięciu samej roboty. Chociażby Caprivi miał słuszność, twierdząc, że inne państwa zużywają daleko więcej pieniędzy, tj. owoców pracy narodowej na podobne cele, to bynajmniej nie uszlachetnia i nie usuwa cynizmu publicznej rozprawy o środkach i czynach, do których moral

ność w żaden sposób przyznać się nie może. Zabrać zdetronizowanemu królowi i jego rodzinie majątek, wytworzyć i podtrzymywać fikcyę „intryg“ dla posiadania tytułu do wydatków z jego kasy; po śmierci obrabowanego usnuć z sofizmatów teoryę jego zamachów „pośrednich“; palić przez 20 lat dowody zużytych pieniędzy, a tem samem napiętnować ich przeznaczenie; stwierdzić przed całym światem fakt tajemnych przekupstw i zdrożnego najmu; dosypywać na ten cel do swego worka z cudzego — wszystko to wymaga bezwstydu i tej bezwrażliwości moralnej, która zaciera różnice między prawością a uprawnioną sromotą. Obrady nad funduszem Welfów są kartą w dziejach Niemiec pouczającą, ale bardzo szpetną.

LISTY SPOŁECZNO-POLITYCZNE O FRANCYI.

VIII.

Groźby przesilenia. — Walka dwóch grup w gabinecie. — Intrygi parlamentarne. — Monarchiści. — Kłopoty rady municypalnej Paryża.

Groźba przesilenia zawisła i nad obecnym gabinetem, któremu niedawno jeszcze przepowiadano żywot bez końca. Może ono wybuchnąć lada chwila dzięki wewnętrznym rozterkom, istniejącym w rządzie. Złoży się na nie z jednej strony ambicya wszechwładnego obecnie ministra, a z drugiej walka dwu partyj dzielących władzę pod hasłem: „zdobycz zwycięzcom!“ Powiedzmy naprzód o ministrze ambitnym. Jest nim Constans, który teraz, również jak i w poprzednim gabinecie, sięga po przewodnictwo. Udało mu się wówczas oddalić od władzy Tirarda, ale miejsca jego nie zajął. Otrzymał je Freycinet. Obecnie więc stara się podstawić nogę temu ostatniemu. Constans, rozumie się, zostaje w cieniu za kulisami, ale ludzie, dla których mury pałacu Burbonów nie mają tajemnicy, twierdzą, iż to jego właśnie ręka snuje obecne intrygi parlamentarne. Osoby z najrozmaitszych partyj grupowane są przez niewidzialną dłoń dla wspólnego celu: obalenia ministeryum obecnego, na którego ruinach ma stanąć nowe — Constansa. Punktem, na którym niezadowolenie ma wybuchnąć, będzie polityka kolonialna. Istotnie, położenie Tonkinu stanowi piętę Achillesową obecnego rządu. Deficyt tej kolonii wzrósł w ciągu roku z 15 do 25 milionów, położenie materyalne nie jest lepsze od finansowego, a na dobitkę „piraci“ gospodarują, jak nigdy. Słowem, na trybunie ma być wytoczona wiązka faktów dostatecznych do obalenia Freycineta. Opozycya obejmie najrozmaitszych ludzi niezadowolonych z jego rządów: oportunistów, którzy mu wyrzucają mianowanie radykalisty Lanessana gubernatorem Indo-Chin; radykalistów, którym znowu Cambon, wybrany na gubernatora Algeryi, wydaje się zbyt umiarkowanym. Ugrupuje ono kolo siebie jeszcze tych, którzy podejrzywają obecnego prezydenta Rady o popieranie kandydatury senatoryalnej Gobleta — a są i tacy, co wybaczyć nie mogą ministrowi oświaty i sztuk pięknych Bourgeois, iż na dyrektora opery wybrał nie ich kandydata, lecz swą własną kreaturę. Wszystkie te drobne niechęci i zawiści są dostateczne dla unicestwienia obecnego gabinetu i tworzą most, po którym Constans kroczy do władzy. A ma on istotnie wiele tytułów dla zdobycia tego zaszczytu. Ten nieoceniony „minister pięści“ już dwa razy zbawił ojczyznę, jakkolwiek nie była w niebezpieczeństwie: peryodycznie zbiera wojsko przeciw nieistniejącym wrogom, a chociaż ci na placu się nie stawią, nie przeszkadza mu to wcale do ogłoszenia się zbawcą. Bądź co bądź, jeżeli mu teraz uda się ustawić w jednym szeregu przyjaciół Clemenceau'a i Ferry'ego, to niewątpliwie dopnie swego celu, jakkolwiek burżuazya, zasiadająca w parlamencie, dobrze się pewno namyśli, zanim odsunie od spraw Freycineta, który dla obrony narodowej miał położyć istotne zasługi i może być w tym kierunku jeszcze bardzo pożyteczny. Ponieważ przeciwnicy zarzucają prezesowi ministrów interwencyę na korzyść osobistego swego przyjaciela Gobleta, który po straceniu teki dwukrotnie już przepadł w wyborach do Izby i obecnie stawia swą kandydaturę do senatu, więc Freycinet za pośrednictwem Agencyi Havasa zakomunikował dziennikom mowę, która odpowiedzialność jego pod tym względem stara się wygładzić. Pozostają wszakże inne punkty, którcśmy wyżej wyliczyli: z ich powodu Constans i Bourgeois (radykalista) poczynili sobie na jednem z posiedzeń Rady masę ostrych wyrzutów i trzeba było całej powagi jej prezesa, aby chwilowo przynajmniej pogodzić rozjątrzone strony. Constans groził już nawet dymisyą — jest to zwykły manewr, używany z powodzeniem przez wytrawnego lisa, gdy chce, aby który z ministrów ustąpił. Daje do wyboru siebie lub swego przeciwnika. Rozterki te, przykryte chwilowo płaszczem przyzwoitości, muszą doprowadzić, jeżeli nie do zupełnego przesilenia, to przynajmniej do ważnych zmian w łonie obecnego rządu, w którym dwa odłamy walczą pod hasłem: „zdobycz zwycięzcom.“ Zastanówmy się nad tem bliżej.

W Izbie obecnej nie ma, jak wiadomo, ani jednej partyi, któraby mogła stanowić dostateczną podstawę dla istnienia odpowiedzialnego rządu. Musi się on więc opierać na kilku stronnictwach, które czynią sobie wzajemne ustępstwa, udaremniają wzajemnie swój wpływ i doprowadzają machinę państwową do bezczynności. Dzięki temu skrajne, jaskrawe barwy zostają zatarte i ostre hasła w praktyce życia powszedniego przemieniają się na szare i niewyraźne strzępki. Gabinet w rodzaju obecnego, któremu przewodniczy Freycinet i który opiera się na oportunistach, lewym środku i radykalistach, nie może, rozumie się, uczynić ani kroku naprzód, ani wstecz i skazany jest tylko na załatwienie codziennych, bieżących interesów. Zresztą trudno o reformy, gdy pierwsze dwie partye są zupełnie zadowolone z istniejącego stanu rzeczy i żyją chwilą obecną — żadnych zmian nie chcą, gdyż one mogłyby się odbywać tylko ich kosztem. Radykaliści są partyą reform — podatek postępowy i spadkowy, oddzielenie kościoła od państwa, prawodawstwo fabryczne — oto, co czytamy w ich programach; nie mają wszakże dość siły w parlamencie, aby je przeprowadzić. Są jednak dość mocni, aby zażądać i otrzymać znaczny udział w korzyściach płynących z dzierżenia władzy. Pogodzili się z losem, tem bardziej, iż uśmiecha się on im wciąż kilkoma tekami i drogocennym wpływem przy obsadzaniu urzędów i miejsc. Pod cieniem więc głośnych frazesów wegetują sobie nie gorzej od oportunistów. Przy każdym wszakże tłustym kąsku, który trzeba podzielić, między zwycięzcami wybuchają niesnaski. A trzeba przyznać, iż gubernatorstwo Tonkinu lub Algieru, a nawet dyrekcya Opery, przedstawiają takie właśnie kąski. To też nic dziwnego, iż Bourgeois, protegowany przez Clemenceau, wydziera je sobie z Constansem. Okropne to położenie dzięki pewnym warunkom musi się stać w przyszłości jeszcze groźniejsza. Dotychczas Clemenceau, nie mogąc sam utworzyć ministeryum, starał się przynajmniej rozstrajać rządy partyj umiarkowanych. Dopóki

---

2)

Pietari Päivärinta.

TOWARZYSZ PODRÓŻY.

NOWELA FIŃSKA.

. . . .

Rozłączyliśmy się. Stary jechał dalej do miasta, ja zaś zboczyć musiałem dla interesu. W samotnej podróży myśl o dziwnym człowieku, którego w drodze spotkałem nie opuszczała mnie ani na chwilę. Chuda jego szkapa, skąpy posiłek, podarte odzienie, oblicze wcześnie postarzałe ciągle stały mi przed oczami. Nadto w uszał brzmiały mi słowa: „Tak sądzi ten, kto zbliska rzeczy nie widzi...“

Z takiemi myślami jechałem dalej ze dwa dni. Przede mną widniała teraz duża, dobrze zabudowana wieś parafialna. Wioska to była rozległa, rozległe były też pola uprawne, pomiędzy któremi w zwartych rzędach stały budynki — piękne i okazałe. Nie były to domy nowe, nie, wszystko stare, dawno istniejące zabudowania. Przebrzmiała w nich niejedna walka, wygasło w nich życie niejedno... Walczyło i żyło tu wiele pokoleń; teraźniejszość cieszyła się owocami, spożywała płody, które się ze skarg, zrodziły. Kto z pośród owych dawnych pokoleń dziesięcin proboszczowi nie płacił?.. Płacili je pewnie wszyscy... wszyscy...

Ładny kościół stał na wysokiem wzgórzu, nad brzegiem pięknego, dużego jeziora. Gęsty las świerkowy rósł wokoło. Trochę dalej, nad przesmykiem, który śmiało w toń się wdzierał, leżała w cienistym parku przepyszna parafia. Sprawa moja wymagała porozumienia się z proboszczem. Dom księdza piękny był nazewnątrz i wewnątrz: można tu było podziwiać wszystkie owoce najświeższej cywilizacyi...

Proboszcz siedział we wspaniałym, miękkim fotelu. Był to człowiek rosły, pełny, okazały; nie można było powiedzieć o nim, że postarzał się przedwcześnie. Był proboszczem parafii, do której należało i „pole głodowe“ Mattiego. I dla jego to dochodów Matti znajdował się teraz w drodze do miasta; a dziesięcinę tak chętnieby Matti spłacił, gdyby tylko mógł... Piękna wioska była wsią parafialną: Matti liczył się do parafii, należał do niej, jako członek gromadki.

Kiedym wchodził do pokoju, proboszcz podniesionym głosem przemawiał właśnie do obecnego organisty:

— I ty udajesz niby uczciwego, a jednak ani razu nie powiedziałeś mi jeszcze, ile kto krów posiada! Wiem ja dobrze, że liczby znasz dokładnie!..

— Kto? Ja? — zapytał organista.

— Rozumie się Ty, odparł proboszcz, patrząc mu ostro, zwycięzko prawie w oczy.

— Jakimże sposobem ja mogę wiedzieć, ile kto krów posiada — pytał organista pokornie. Chciał widać uniknąć drażliwej wymiany słów.

— Wiesz dobrze, nie chcesz tylko powiedzieć! Łotry okradają mnie na każdym kroku; kto z nimi trzyma winien jest kradzieży! A wiesz że ty człowieku, co jest kradzieży zapłatą? — wołał proboszcz coraz gniewniej.

Organista z natury nie był potulny. Obrażona miłość własna, honor dotknięty, falą krwi twarz mu zalały. Odpowiedział:

— Nie przypuszczam, ażeby obowiązkiem moim było chodzić od gospody do gospody, liczyć krowy chłopskie, a potem o rezultacie tej wędrówki donosić proboszczowi. Nie wierzę, jakobym przed kimkolwiem, przed Bogiem albo ludźmi, miał być odpowiedzialny za większą istotnie liczbę krów, aniżeli jest podawana przez chłopów. Są wprawdzie na świecie dwa gatunki ludzi,

monarchiści grali rolę nieprzejednanych, polityka ich szła w tymże kierunku — co pół roku można więc było obalić gabinet. Ale po awanturze bulanżystowskiej monarchiści znacznie spuścili z tonu. Systematycznej dezorganizacyi rządu już nie chcą, przeciwnie, obiecują mu nawet poparcie za cenę skierowania polityki na tory konserwatywne. Constans na tory te właśnie wkracza: oddzielić się od żywiołów radykalnych, a oprzeć na wstecznych, byleby przyznały Rzeczpospolitę, oto jego ideał. Nie ulega też wątpliwości, że „prawica konstytucyjna,“ którą Piou obecnie organizuje, będzie w znacznym stopniu jego dziełem.

Tymczasem proces rozpadania się partyj monarchicznych postępuje naprzód z zadziwiającą prawidłowością. Tak zwane „Zjednoczenie konserwatywne“ (Union conservatrice), które miało połączyć bonapartystów i orleanistów przy obronie wspólnych interesów wobec Rzeczpospolitej, coraz bardziej się rozluźnia: niektórzy uważają je za skończone. Przy wyborach ostatnimi czasy obie partye wystawiają oddzielnych kandydatów. To też Hervé w *Soleil* żąda zerwania związku, który ma być korzystny jedynie dla bonapartystów; ci ostatni natomiast są radzi, iż wyzwalają się z więzów, na których tylko orleaniści mieli wygrywać. Oba obozy są niezadowolone z siebie i z całego świata — i mają rzeczywiście czego. Odstępstwa powtarzają się na całej linii z zastraszającą szybkością. Jakkolwiek ks. Ludwik Napoleon, aby nie rozdzierać partyi nowymi zatargami, wyrzeka się dziedzictwa politycznego, które mu ojciec zostawił, na korzyść Wiktora, bankructwo jej nie stanowi już dla nikogo tajemnicy. Obecny szef bonapartystów na pewno wielką powagą wśród wiernych cieszyć się nie będzie, jeżeli ojciec w testamencie nazywa go „rokoszaninem i zdrajcą, który mu sprawił wiele boleści.“ Nie lepiej się dzieje z orleanistami. „Prawica konstytucyjna,“ która powoli z pośród nich się wyłania, ma znaczne widoki na przyszłość. I bardzo być może, iż przy rekonstrukcyi gabinetu Constans powoła do udziału we władzy jej przedstawicieli i odda im portfele zabrane radykalistom. Przyspieszy to niewątpliwie proces krystalizacyi nowej partyi, nada obszerną podstawę przyszłemu gabinetowi, który będzie miał zapewniony długi żywot. Ale kto na tem zyska? Reakcya! I obecne ministeryum trwało długo: oto upływa już drugi rok jego istnienia. I cóż z tego? Dawniej dla bezczynności Izby można było wystawić za powód stałe zmiany gabinetów; dziś powód ustąpił, a bezczynność po dawnemu panuje. Rozstrzygnięcia tajemnicy trzeba szukać nie w parlamencie, lecz po za jego obrębem, w kraju samym, w ohydnym wpływie, jaki chłopstwo na bieg życia wywiera. Nie sądzimy, aby kapitalizm mógł szybko zniszczyć tę okropną fortecę zastoju. Prawdopodobnie wcześniej miejskie siły postępowe rozporządzą się losami kraju, niezależnie od chłopstwa. Większość orleanistów pozostała jednak dotychczas wierną dawnym swym hasłom, a nawet zwiera obecnie szeregi dla nowego natarcia na wroga. Mówiliśmy już, że hr. d'Haussonville powołany do kierownictwa partyi, ogłosił swe zamiary wojenne. Prefektura policyi odpowiedziała, iż przyjmie to oświadczenie pod uwagę i ścisłą kontrolą otoczy działalność nowego ministeryum *in partibus*, utworzonego przez wojowniczego szefa. Zwolennicy więc hr. Paryża krzyczą w niebogłosy przeciw „tyranii Rzeczpospolitej,“ która nie pozwala się podkopać bez oporu.

Rada municypalna paryska była tymi dniami w nader kłopotliwem położeniu. Niejaki Pruvot, były właściciel domu publicznego, chcąc widocznie zrehabilitować swą profesyę i postawić w rzędzie— a czemużby i nie na czele? — innych sposobów legalnego robienia pieniędzy, ofiarował przed śmiercią milion na szpital, wymówiwszy sobie wszakże, iż imię jego wypisane zostanie złotemi literami na froncie zakładu dobroczynnego. Ojcowie wielkiego grodu ani przez chwilę się nie wahali z przyjęciem daru i zdobyli, rozumie się, poklask ogólny. Ale inna rzecz co do napisu. Rada nie zgadzała się na wykonanie tego warunku, co wywołało słuszne oburzenie ze strony towarzyszy Pruvota. Gdyby Rotschild ofiarował ten milion, wystawiono by mu niewątpliwie pomnik, jakkolwiek nikomu nie jest tajnem, iż mocarz ten zjada codziennie na śniadanie po kilka rodzin, a każdym „coup“ na giełdzie przysparza setki ofiar prostytucyi. A biednemu „souteneurowi,“ zwłaszcza gdy chce podnieść honor „uczciwej“ profesyi, odmawiają w marnym zaszczycie! Świętoszkowie wszakże obstają przy swojem — nie rozumiem czemu? Znałem niegdyś w pewnem bogobojnem mieście kamienicznika, który już obecnie czwarty dom pod dach doprowadza i w każdym oddaje lokale pod lupanary za potrójną cenę, co mu nie przeszkadza być przykładnym kupcem, honorowym człowiekiem (kiedyś nawet pojedynkował się w obronie klejnotu szlacheckiego) i cieszyć się szacunkiem współobywateli. Czemże jest gorszy gospodarz lupanaru? Opłaca podatki i przyczynia się do wzrostu bogactwa krajowego. Po długich namysłach Rada paryska postanowiła, iż imię Pruvota figurować będzie nie na froncie, lecz wewnątrz szpitala, na specyalnej marmurowej tablicy — i znowu otrzymała poklask wszystkich porządnych ludzi. O, jezuityzmie mieszczański! Złoto jest złoto — *non olet*, jakkolwiek pewien zwaryowany chemik odkrył w niem dwa nowe składniki: przy bliższej analizie wydawało ono zapach kradzieży i prostytucyi. Ale, uspokójcie się, chemik ten znajduje się już od dawna w komórkach. A Rada paryska niewątpliwie dobrze postąpiła, uwieczniając na marmurze imię wielkiego filantropa i... pożytecznego obywatela kraju! Bo i któż nie wie, że dla zachowania „niepokalaności niewiast“ i czystości „ognisk domowych“ prostytucya jest zjawiskiem koniecznem i dobroczynnem? Tylko dzięki niej „gniazdka rodzinne“ mogą być „czyste, jak śnieg.“

L. W.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

„Chociaż narodowo-liberalizm — powiada *Frankf. Zeitung* — był uruchomiony na całej linii i rozwinął niebywałą agitacyę, popieraną pieniędzmi, nie zdołał, o co mu głównie chodziło, ściągnąć do urny masy wyborców, którzy 15 kwietnia zachowali się apatycznie. Były kanclerz otrzymał 12,000 głosów, przeciw którym padło około 6,000 socyalno-demokratycznych. A więc 12,000 wyborców wstrzymało się od głosowania i ta właśnie cyfra odejmuje blask zwycięztwu Bismarka. Został on wybrany jak pierwszy lepszy landrat, po bardzo ciężkiej walce i z pewnością byłby przepadł jak pierwszy lepszy landrat, gdyby przy głosowaniu ściślejszem współzawodniczył z welfem lub postępowcem.“ Nie z wielkim tedy tryumfem wjeżdża do sejmu poseł z Geestemunde, niegdyś wszechmocny wielkorządca Niemiec, przed którym naród schylał swe głowy, jak kłosy na polu przed wiatrem. Ale nim sama walka o skromną godność sprawia mu upokorzenie. Pamiętać trzeba, że parlamentaryzm był zawsze przedmiotem szczególnej wzgardy i poniewierki ze strony Bismarka, że oba sejmy traktował on jako bezmyślne kłody rzucone pod koła wozu państwowego. Niepodobna byłoby zliczyć, ile on przedstawicielom na-

---

z których jeden stara się o to, aby dochody swoje możliwie ograniczyć, ale i za ten podział ludzi odpowiedzialności nie przyjmuję. Kto do izby biedaka zajrzał, kto z nim przebywał, rozumie dlaczego tak jest, a nie inaczej. Ksiądz proboszcz, zdaje mi się, powiedział więcej, niż należało!

Teraz proboszcz zapłonął.

— Czy pamiętasz do kogo mówisz?

— Pamiętam bardzo dobrze. Mówię do księdza proboszcza, chociaż nie do łaskawego księdza! — To powiedziawszy, odszedł bez pożegnania.

Mogłem więc wreszcie przystąpić do mego interesu. Proboszcz był bardzo wzburzony: zirytowała go widać szczerość organisty.

— Ot, dureń wszędzie się wtrąca: nie wstydzi stawiać się hardo wobec tych, co lepsi są od niego. Nieraz już zachowywał się zuchwale i niejeden z księży okolicznych mawiał mi już: „Gdyby to mój był organista, nauczyłbym go mores!“ Ucz go mores! Widziałeś Pan, co stąd wynika!

Nie odpowiedziałem, bo zdawało mi się, że scenę z organistą proboszcz sam wywołał. Zachowywałem się zresztą uprzejmie i w grzecznych słowach wyjaśniłem księdzu, co mnie do niego sprowadza. Proboszcz powoli stawał się grzeczny i uprzedzający: wkrótce rozgadaliśmy się na dobre. Z twierdzeń proboszcza wynikało, że we własnem przekonaniu lud, jego zwyczaje i obyczaje zna doskonale. Prawił wiele o tem, że ludzie, a raczej lud za mało ma rozumu, aby wiedzieć, ile wdzięczności winien jest swemu największemu dobroczyńcy. Proboszcz nazwiska tego dobroczyńcy nie wymienił, ale z mowy jego łatwo się było domyśleć, że siebie za dobroczyńcę ludu uważa...

Skończyłem interes, pożegnałem się i poszłem.

Lecz rzecz dziwna, myśl o Mattim Svältbacka i jego beczkach z dziegciem ani na chwilę mnie nie opuszczała. Porównywałem położenie i byt materyalny różnych ludzi, przeciwstawiłem Mattiego proboszczowi i znalazłem, że w życiu obu ich wielka jest różnica. Nierówne, bardzo nierówne były to stosunki. Jeden żył w ozdobnem, wygodnem mieszkaniu, wśród rozkoszy i dodatku, przy pełnych misach, bez trosk, bez trudu, bez trwogi — o możliwą egzekucyę. Drugi żyje z pracy i zmartwień, z zimna i głodu, z trosk i kłopotów, otoczony nagą, zgłodniałą rodziną, w walce ze skąpą biedną przyrodą, w wiecznej trwodze, w wiecznym wysiłku; męczy się, stara się wypełniać obowiązki, rodzinne i społeczne, aby wreszcie pod ciężkim brzemieniem życia uledz.

Kontury tych dwóch istnień różne były i nie były równe. A jednak, zdawało mi się, że obaj, tak Matti, jak i proboszcz, obaj ludźmi byli.

Sprawy moje zatrzymały mnie jeszcze na dni kilka we wsi. Ukończywszy interesy puściłem się w dalszą drogę. Okolicy nie znałem, dla pewności wziąłem więc sobie przewodnika. Jechałem pogrążony w zadumie, przewodnik mój wiódł konie, pośpiewując ulubione widać swoje piosenki. Był to młody chłopak, trosk życiowych wcale jeszcze pono nie zaznał.

Ujechawszy jakie półtorej mili od parafii, spostrzegłem na lewo gospodę, a koło niej liczną gromadkę ludzi. W tak odległej miejscowości zbiorowisko to zdziwiło mnie.

— Co to za osada?

— Svältbacka! — odpowiedział chłopak wesoło. Zadrżałem.

— Dlaczego tyle się tam zebrało narodu? spytałem zmieszany.

— Egzekwują ich za podatki, należne proboszczowi — odparł chłopak obojętnie.

— Właściciel zowie się Matti?

— Tak — Matti!

rodu powiedział impertynencyj i grubiaństw. Zwłaszcza opozycyę wprost deptał nogami. Każdy, kto nie szedł za nim z baranią pokorą, był zdrajcą, zuchwalcem, wrogiem państwa, „republikaninem.“ Nietylko wszelkiego wpływu na sprawy zagraniczne, ale nawet prawa do ciekawości o nich odmawiał parlamentowi bezwzględnie. Gdy go raz zainterpelowano w jednej z takich spraw, odesłał pytających do archiwum, gdzie pozwolił im przejrzeć stare akta. No i dziś ten sam Bismark, zdobywszy z wielkim mozołem mandat, wchodzi do tego samego sponiewieranego parlamentu, przyłącza się do tej samej opozycyi, którą zniesławiał, i chce jako poseł debiutować w sprawie międzynarodowej, dotyczącej układu celnego między Austrya a Niemcami. Zaiste, fortuna złośliwie się nad nim urąga. Nie zaraz jednak podejmie on swoją rolę. Wspomniany bowiem układ wejdzie dopiero na jesienną sesyę sejmu niemieckiego, nie prędzej też Bismark pofatyguje się do Berlina.

Cesarz Wilhelm miał znowu mowę polityczną w Düsseldorfie, gdzie przedstawił się jako archanioł pokoju. Mowa ta widocznie została przeznaczona dla wiadomości publicznej. Monarcha bowiem niemiecki miewa dwojakie: jedne, wypowiadane w ścisłych i zamkniętych kołach wojskowych, brzmią dość wojowniczo i nie są w całości ogłaszane, drugie zaś, zwracane do szerokiego świata, noszą na sobie akcenty pokojowe.

W parlamencie włoskim rozdano „księgę zieloną“ (zbiór dokumentów dyplomatycznych). Między innemi mieści się tu nota Rudiniego do włoskiego pełnomocnika w Waszyngtonie, któremu poleca ograniczyć swą działalność do załatwiania formalności. „Skoro zostało stwierdzonem — mówi nota — że uwolnionych przez *jury* obywateli włoskich zamordowano w więzieniu, czegóż więc potrzeba do przekonania rządu Unii, iż poręczona w traktatach międzynarodowych opieka nad poddanymi obcego państwa została zaniedbana? Włochy głównie wymagały, aby rząd Unii przeprowadził prawidłowe śledztwo, nic więcej. Jest to wszystko bardzo smutne, świadczy bowiem, iż rząd amerykański nie jest w stanie dać obcemu mocarstwu rękojmi, którą każdy inny uważa za swój prawny obowiązek. Zastrzegliśmy nasze prawo i zastrzegamy je i nadal. Niechaj rząd związkowy rozważy, czyli wypada mu pozostawić któremukolwiek z nieodpowiedzialnych przed nikim stanów Unii możność podkopywania wartości umów, na których opiera się powaga rządu i honor całego narodu. Opinia publiczna, jako najwyższy sędzia, wskaże słuszny sposób rozwiązania tej trudnej kwestyi spornej.“

Królowa Natalia nie chce się poddać warunkom ugody, zawartej między regentami a Milanem, i opuścić Belgradu. Zagrożono jej użyciem siły. Pakując swoje kufry, stawia jednak opór nie w nadziei zwycięzenia, ale w chęci dokuczenia. Po przymusowym wyjeździe ma wydać „manifest,“ protestujący przeciwko gwałtowi.

Wojna domowa w Chili znowu przechyliła się na stronę rokoszan, którzy według wszelkiego prawdopodobieństwa zapanują nad krajem.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Warszawskij Dniewnik zamieszcza następujący komunikat:

Zapowiedziany przez proklamacye, zalewające Królestwo Polskie, dzień 21 kwietnia, a według nowego stylu 3 maja, w którym wzywano ludność do uczczenia osobnemi demonstracyami stulecia konstytucyi 3 maja, nie przedstawiał w Warszawie wczesnym rankiem nic niezwykłego ze strony ludności polskiej. Dzień ten, niedzielny, przypadający jednocześnie z dniem Wielkanocnym ludności prawosławnej, niczem się nie odróżniał od innych świąt polskich.

Od godziny 10-ej rano miasto zaczęło przybierać zwykły swój charakter. Za pośrednictwem agentów było wiadomem, że demonstracyę rozpoczną studenci uniwersytetu warszawskiego w kościele św. Jana.

Około godziny 11 zaczęli się oni istotnie tam zbierać, wchodząc do kościoła po dwu lub trzech, umieszczając się w trzech punktach między publicznością. W przybliżeniu zebrało się ich w kościele około 70, a w tej liczbie byli także wychowańcy warszawskiego instytutu weterynaryjnego. Także sama liczba studentów zebrała się także w kościele Panny Maryi, położonym w pobliżu kościoła św. Jana.

Po skończeniu nabożeństwa, wychodząc także po dwu lub trzech, skierowali się oni przez Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat i aleję Ujazdowską ku ogrodowi Botanicznemu, mieszając się z publicznością, wychodzącą z kościołów. W tym samym czasie z ulic: Pięknej, Wilczej i Instytutowej, przylegających do alei Ujazdowskiej, zaczęli jeszcze liczniej ukazywać się studenci uniwersytetu i wychowańcy instytutu weterynaryjnego, kierując się niewielkiemi grupami także ku ogrodowi Botanicznemu.

Do ogrodu wchodzili oni grupami nie większemi nad pięciu i kilka razy, w milczeniu, z odkrytemi głowami obeszli znajdujące się w końcu ogrodu ruiny kaplicy, której początek budowy, według wiadomości miejscowych, przypadł jednocześnie z konstytucyą 3-go maja 1791 r. Do studentów przyłączyło się w tym czasie kilku gimnazistów starszych wiekiem, oraz dam znajdujących się w ogrodzie, które na wystające ruiny kładły bukieciki.

Następnie wszyscy podzielili się na dwie partye i po krótkiej przechadzce po ogrodzie zwrócili się przez aleję Ujazdowską do miasta, gdzie od placu św. Aleksandra rozeszli się w różne strony.

Około godziny 5-ej wieczorem w alei Ujazdowskiej, przy masie spacerującej tam publiczności, znowu pokazały się grupy studentów. Wchodzili oni do ogrodu Botanicznego i wychodzili partyami, mieszając się z publicznością. Do nich stopniowo znów przyłączały się osoby prywatne; gimnaziści starsi wiekiem, uczniowie innych szkół i damy.

W ogrodzie Botanicznym zaczęli oni znowu partyami obchodzić ruiny, odkrywając głowy, a damy składały tam bukieciki. Miejscowy pomocnik komisarza wzywał tłum do rozejścia się, lecz partye nie przestawały chodzić dokoła ruin i dopiero po przybyciu p. o. oberpolicmajstra i po usilnych przestrogach z jego strony zaczęły się rozchodzić, kierując się przez aleję Ujazdowską ku placowi św. Aleksandra. Po drodze czytano jakieś litografowane notatki, oddając je sobie, a po odejściu tłumu, na ławce, naprzeciw ruin kaplicy, pozostał napis czerwonym ołówkiem: „konstytucya i rewolucya,“ a wśród kwiatów, powkładanych w zwaliska, metalowo listki laurowe z czapek gimnazistów.

Z placu św. Aleksandra tłum studentów w liczbie nie mniej niż 100, skierował się przez Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście, w asystencyi masy publiczności, na plac Zamkowy, z widocznym zamiarem pójścia do kościoła katedralnego św. Jana. Tam oberpolicmajster ponownie wezwał do rozejścia się i jednocześnie wobec rozpoczynającego się zmroku zawezwano setnię kozaków. W tym czasie tłum skierował się przez plac Teatralny ku ogrodowi Saskiemu, a po ukazaniu się kozaków rozproszył się, ale znaczna część ukryła się w ogrodzie Saskim, gdzie też zatrzymano 32 osoby, co do których prowadzi się śledztwo administracyjne.“

(*Komunikowane*).

— Spotkałem go, jadąc do waszej wioski — mówiłem zdziwiony.— Spieszył do miasta i do połowy drogi towarzyszyłem mu w podróży. Jakże to być „może? Byłbym go przecież spotkał!

— To łatwe do zrozumienia! Matti pojechał inną drogą, nie chcąc pewnie nałożyć.

— Prawdopodobnie nie powrócił jeszcze: chciał przecież sprzedać dziecgeć aby zapobiedz licytacyi.

— Najpewniej!

Skręcaliśmy w kierunku do Sväitbacka.

— Zajedź na folwark — rozkazałem. Chłopiec usłuchał.

Kiedyśmy przybyli na miejsce, spostrzegłem, że wszystko odbyło się tutaj zwykłym porządkiem. Nie znaleźli tam dużo do sprzedania, parę chudych krowin — ot i wszystko! Prawda można było znaleźć i co innego jeszcze: kilka małych, nagich, głodnych dzieciaków i wcześnie zwiędłą matkę... Ale zabrać coś podobnego najsurowszy nawet wierzyciel nie ma serca! Cóż dopiero człowiek tak po chrześciańsku myślący, jak ksiądz proboszcz.

Krowy stały już w podwórzu, uwiązane na długich witkach, których końce spoczywały obecnie w dłoniach nowych właścicieli. Chcieli właśnie oni opuścić folwark. Matka, wybladła, stała wśród gromadki głodnych swoich dzieci. Nie płakała, może łez już nie było: oczy miała zmęczone, czerwone.

Zbliżyłem się do niej.

— Więc mąż wasz nie powrócił z miasta? — spytałem.

— Skąd wiecie, że Matti jest w mieście? Spojrzała na mnie badawczo.

— Spotkałem go na drodze — odrzekłem.

— Jeszcze go niema, chociaż pragnął jaknajrychlej powrócić. Boję się, czy go nieszczęście jakie nie spotkało. Droga jest zła, a szkapa chuda. Gdyby Matti teraz nawet wrócił, nieby już nie pomógł. Odebrano nam ostatnią możność poprawienia ciężkiego bytu. Wielkiej korzyści nie mieliśmy z tych krowin, ale dawały przynajmniej parę kropel mleka dla dzieci... Sprzedano je za nic; ktoby też za nic zapłacił, taka to chudzizna! Dano za nie zaledwie tyle, ile potrzeba na spłacenie proboszcza i pokrycie kosztów licytacyi. Tracimy je na lato, a latem właśnie miały nam być pomocą!“

Tak! Stało się nieszczęście, wszystko odbyło się w porządku! Nikt nie mógł powiedzieć, że popełniono niesprawiedliwość, bo prawa są niezłomne, a prawo własności — święto. Istnieje jednakże kodeks, który podobne czyny potępia, niesprawiedliwością je zowie... Takim kodeksem jest miłość.

Dosyć widziałem. Odszukałem mego przewodnika i pojechałem. Dziwne uczucia budziły się w mojej duszy, rozmawiać nie miałem ochoty.

— Jaki to człowiek, ten wasz proboszcz? spytałem wreszcie po długiem milczeniu.

— Proboszcz jest dobrym mówcą, ale tak dba o swoje, że z komina popiół by wygarnął — odrzekł chłopak obojętnie, śpiewając dalej.

Tegoż dnia stanąłem u celu mojej podróży.

Zabawiłem parę dni, poczem pewnej soboty w towarzystwie mego przewodnika udałem się w podróż do domu. W niedzielę rano mijałem parafię. Zatrzymałem konie przy jakiejś gospodzie, bo chciałem wstąpić do kościoła.

Zbliżywszy się, spostrzegłem mary, a na nich ciało. Posługacze upuścili mary na ziemię, czekając na proboszcza i organistę. Ci ukazali się niebawem. Wydało mi się, jakoby proboszcz ciągle kłócił się jeszcze z organistą i myślał: „Łotry okradają mnie.“

— Kogo chowają? — zapytałem stojącego obok mnie człowieka.

BADANIA NAUKOWE.

KWESTYA ARYJSKA.

Studya porównawczo-lingwistyczne, wykazujące, że języki sanskrycki, zendzki, grecki, łaciński, celtycki, germański, słowiański, litewski mają wspólny pień, zrodziły cały szereg badań nad aryami — ludem, który używał swej pra-mowy. Zaczęto poszukiwać jego ojczyzny, odcyfrowywać kulturę, kreślić ustrój społeczny i zapatrywania religijne. Naturalnie, wobec ubóstwa materyału faktycznego, szerokie pole pozostawało dla najrozmaitszych domysłów i przypuszczeń. Zresztą tradycya klechd biblijnych długo ciężyła nad temi poszukiwaniami. Zgodnie z gadką o górze Araracie szukano pra-siedziby aryów koniecznie gdzieś w Azyi, lecz umieszczano ją bezustannie w innej miejscowości. Ostatnimi czasy widziano w wyniosłości Pamizu ich kolebkę. Atoli hypoteza ta, będąca jedynie ostatnią spuścizną wpływów biblijnych, nie odpowiadała stawianym wymaganiom. Latham, za nim inni wnoszą do nauki pogląd, iż ojczyzny pra-aryjskiej należałoby szukać nie w Azyi, lecz gdzieś w Europie, a zarazem wywołują ożywione spory i wzmocnione krzątanie się dla zdobycia dowodów za i przeciw. Jednocześnie rozwijająca się antropologia do kwestyi aryjskiej wnosi nowe a nieznane pytanie. Podobnie jak można odbudowywać mowę pra-aryjską i poszukiwać jej kolebki, tak samo wolno mniemać, iż mowa ta wystąpiła wśród szczególnie ukształtowanego typu rasowego. Idzie więc o zbadanie, jak ów typ wyglądał. Ożywienie, spowodowane w lingwistyce, archeologii i antropologii przez takie postawienie kwestyi, jest bardzo silne. Rok każdy przynosi też od lat kilku niejedną cenną rozprawę w tej mierze, nieraz bardzo silnie odchylającą się od dawnych wzorów i zapatrywań. Świeżo ukazała się praca Huxleya *). Wprawdzie nie zbogaca ona nauki niczem nowem, lecz jest jedynie przewybornem streszczeniem wyników, do których wiedza doszła. Rzecznicy nowego kierunku mogą ją powitać jako dowód swego zwycięztwa, Huxley bowiem jest znany z ostrożności naukowej i jeśli wypowiada się jako wyznawca raczej europejskiego, niż azyatyckiego pochodzenia aryów, okoliczność ta świadczy o większej sile przekonywającej dowodów obozu odpowiedniego.

Huxley usiłuje rozstrzygnąć kwestyę na podstawie materyału antropologicznego, odpowiadając przedewszystkiem na pytanie, wśród jakiego typu rasowego mowa pra-aryjska się ukazała. Z tego powodu rozpatruje on geograficzne rozmieszczenie różnych typów, używających dzisiaj języków aryjskich. Spostrzega on na tej przestrzeni cztery zasadniczo odmienne grupy rasowe. Południową część Skandynawii i pomorze Bałtyku i morza Niemieckiego zaludnił charakterystyczny typ: długogłowego blondyna. Silna a wysoka budowa, jasna cera z błękitnemi oczami i zwykle żółto-czerwonawymi włosami. Z tego obszaru blondyn wciąż tłumnie wychodzi, jak daleko w przeszłość sięgają źródła wiarogodne. Gromady ludów, uczestniczących w wielkiej wędrówce wieków V—VII, składają się przeważnie z blondynów. Podobnie czaszki przedhistoryczne, wydobyte w Skandynawii południowej z grobowców epoki neolitycznej, dowodzą swoimi kształtami, iż ludność miejscowa była od czasów niepamiętnych tego samego wyglądu antropologicznego, jak w dniu dzisiejszym. Napróżno szukalibyśmy jakiejkolwiek wskazówki, dowodzącej, że inna rasa zamieszkiwała niegdyś te okolice. Jeżeli udamy się w jakąś stronę od wskazanego obszaru — do Francyi, Belgii, Szwajcaryi, Niemiec południowych, wszędzie znajdziemy coraz więcej wzrastający procent krótkogłowców. Typ ten początkowo, tj. w pasie bliższym pomorza bałtyckiego i niemieckiego zdradza się jedynie obecnością odpowiednio zbudowanej czaszki — niczem więcej. Polacy, finlandczycy, niemcy Czarnego lasu są jeszcze blondynami i wysokimi, chociaż posiadają już stale czaszkę krótkogłową. Ale powoli, idąc w kierunku wskazanym, wraz z krótką czaszką występuje niski wzrost i śniada cera z ciemnemi oczami. Sabaudczyk przedstawia całość znamion, wręcz przeciwną czystemu typowi blondynowemu: jest niskim a krótkogłowym brunetem. Postacie krótkogłowe, lecz blondynowe, jakie spotykamy w Polsce, Czarnym lesie, należy uważać za mieszańców, wytworzonych przez skrzyżowanie się obu typów czystych: podłóżnogłowego blondyna i śniadego krótkogłowca. Krótkogłowiec występuje z właściwemi sobie cechami najwybitniej w górskiej części Europy środkowej i mnóstwo wyglądów skłania do wniosku, iż podczas całego okresu historycznego i epoki przedhistorycznej okolice górsko-środkowe Europy były zaludnione przez śniadego krótkogłowca. Podobnie krótkogłowców spotykamy na północy Skandynawii, jako też dalej na wschodzie Europy; są to typy mongolskie, od pierwszego rzutu oka różne od krótkogłowców Europy środkowej. Wreszcie w zachodnich okolicach Anglii obok blondyna spotykamy jeszcze podłóżnogłowego bruneta — typ niskorosły, zaludniający Hiszpanię, Korsykę, Sardynię, Włochy południowe, a o którym można znowu z całą słusznością twierdzić, iż okolice te są prastarą jego ojczyzną. Wogóle jedynie o krótkogłowcach mongolskich można powiedzieć, że są najezdnikami, inne rasy wymienione siedzą w Europie od czasów odwiecznych i twierdzenie o przybyciu ich z Azyi nie ma za sobą najmniejszych dowodów. Tylko o blondynach można dodać, że względnie do krótkogłowców Europy środkowej i śródziemnomorskich podłużnogłowców stanowią oni żywioł ruchliwy, czynny, wciąż wylewający się ze swoich terytoryów w dalsze okolice.

Dzisiaj wszystkie trzy rasy europejskie mówią językami tej samej rodziny lingwistycznej — aryjskiej. Otóż nastręcza się pytanie o stosunku wzajemnym pra-mowy aryjskiej do jej ras. Rozpatrując się w świadectwach, które pozostały z przeszłości, nie trudno zauważyć, iż innego języka, prócz aryjskiego, nie używali jedynie blondyni. I rzeczywiście, istniejący w pewnej części pasma pirenejskiego język baskijski jest wymowną spuścizną po owym okresie, kiedy długogłowi śródziemnomorcy porozumiewali się mową nie-aryjską. Również wątpliwą jest rzeczą, czy języki liguryjski i retyjski, jakimi mówiła pewna część śniadych krótkogłowców górali, należą do tej rodziny. W ten sposób mamy pewne prawo do twierdzenia, że śródziemnomorcy i krótkogłowcy przyjęli mowę aryjską dopiero w czasach późniejszych i że ją zapożyczyli od blondynów. Huxley mimochodem wspomina o wskazówkach, pozwalających mniemać, iż grecy najezdnicy oraz pra-rodzice plemion zendzkich i hinduskich byli blondynami i że wędrówki blondynów są jednocześnie narzucaniem mowy aryjskiej innym grupom rasowym.

Mając wyznaczoną z pewnem prawdopodobieństwem tę rasę ludzką, wśród której mowa aryjska ukazała się po raz pierwszy, możemy poruszyć dalsze pytanie — o prasiedzibie tej ludu. Za czasów przeważającego wpływu poszukiwań lingwistycznych kwestyę tę usiłowano rozstrzygnąć na drodze porównawczo-językowej. Szukano tych nazw dla zwierząt i roślin oraz zjawisk

*) *The aryan question and the prehistoric man.*

— Umarł Svältbacka Matti: zmarł na drodze do miasta! — brzmiała odpowiedź.

Zrozumiałem... Zimny dreszcz przebiegł mi po ciele.

Organista jął odczytywać psalm:

> Wielkiej nędzy
> I cierpienia
> Doznasz w tym padole itd.

Prawdopodobnie sam proboszcz, pasterz Mattiego, wybrał dla niego ten oto psalm. Żywym, bystrym umysłem zauważył i pojął pewnie, że życie Mattiego było jeno nędzą a cierpieniem...

Po odczytaniu psalmu, orszak ruszył, a ja, chociaż nieproszony, przyłączyłem się do tłumu.

Chowano parę ciał — orszak był liczny. Kiedy stanęliśmy u grobów, spuszczono trumny i proboszcz jął odprawiać ceremonie poświęcenia miejsc, które miały być wiecznym spoczynkiem biedaków. Wziął szpadel w rękę, trzy grudki ziemi rzucił na trumny nieboszczyków. — Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz — wołał przy tem z patosem. Wskutek przymrozków nocnych ziemia tak stwardniała, że rzucane grudki z głuchym dźwiękiem odbijały się od trumien. Kiedy ziemia uderzyła o trumnę Mattiego, zdawało mi się, że w tłumie szelestem zaszumiały słowa: „Jest on dobrym mówcą i wszystko odprawia bardzo dobrze. Nie ganię proboszcza... Kraść nie chcę, ale nie mogłem zapłacić!.."

Szukałem w orszaku żony Mattiego. Straszna bladość pokrywała jej biedne, stroskane lica. Bez łez, z czerwonemi oczami, zapadłą twarzą stała pośród pół nagich, głodnych dzieci swoich, nad mogiłą męża. Patrzała nieruchomie w jeden punkt — w trumnę.

Nie przystąpiłem już do niej — wspomnienie zbyt jeszcze było świeże.

Po pogrzebie zapytałem kogoś z tłumu o szczegóły śmierci Mattiego. Zapadł w drodze na zapalenie płuc. Przeziębił sobie ręce i nogi; bezsilne ciało nie przeniosło tego, że nogi wiecznie zimne były i mokre. Trzy dni Matti chorował i wyzionął ducha.

Rozległy się dzwony, nawołując do nabożeństwa porannego. Wraz z innymi wstąpiłem do kościoła. Po mszy proboszcz wszedł na kazalnicę. „Kochaj bliźniego, jak siebie samego." „Miłość jest prawdziwem wypełnieniem przykazań" — oto sentencye, które stanowiły temat kazania. Z wielką siłą, patosem i talentem pewnym proboszcz wpajał święte zasady w gromadkę swoją. W chwili kiedy największej uniósł się zapałem, usłyszałem znowu słowa: Jest dobrym mówcą... Kazanie czyniło wrażenie, parę starych kobiet płakało...

Po kazaniu proboszcz wspomniał zmarłych. „Podobało się Bogu wszechmogącemu powołać do siebie z tej doliny łez i zmartwień gospodarza, imieniem Matti Antipoika, rodem ze Svältbacka w wieku lat 42, miesięcy 3, dni 8.

> Co to jest pieniądz, co to bogactwo?
> Złota blask świetny niech Was nie kusi!
> Troski, cierpienia, krzyż i tułactwo
> Narówni z biednym bogacz nieść musi!

Tak więc Matti od proboszcza ostatnią odebrał przysługę. A oddał mu ją proboszcz, jak na dobrego pasterza przystało — z siłą i patosem. Kiedy odczytywał powyższy wiersz o bogactwie, zdawało się, że pieniądze nie mają dla niego żadnej wartości i że w cierpieniu siebie i Mattiego za równych uważa.

Ale w czasie całej tej głośnej uroczystości ja słyszałem słowa:

„Głupi jestem, nie znam się na tych rzeczach: proboszcz pewnie lepiej się na nich rozumie!.."

Przeloż. *Malwina Posner.*

przyrody, które we wszystkich lub w kilku odległych językach aryjskich wyszły z tych samych źródłosłowów i pozwalają sądzić, że były już dobytkiem pra-mowy aryjskiej. W ciągu zaś dalszym, na podstawie tych nazw, usiłowano odtworzyć faunę, florę i klimat, w którym żyli pra-aryowie i wyszukać odpowiadającej temu okolicy. Naturalnie, postępowanie takie byłoby najzupełniej uprawnione, gdyby dzisiejsze ukształtowanie lądów i klimatów pozostało niezmiennem od owych czasów, kiedy mowa aryjska się tworzyła. Tymczasem badania geologiczne wykazują, że dzisiejszy układ lądów z północo-wschodu Europy jest względnie świeżego pochodzenia, oraz że klimat ongi był inny na tej samej przestrzeni. Huxley zatrzymuje się nad tym przedmiotem dłużej. Jezioro Bałkasz, morza Aralskie, Kaspijskie i Czarne są dzisiaj odrębnemi i nawzajem niezależnemi od siebie wodozbiorami. Lecz był czas, i to nie w tak bardzo odległej przeszłości, kiedy stok morza Czarnego do śródziemnego był zamknięty. Azya mniejsza stanowiła wtedy jedną zwartą całość z półwyspem Bałkańskim, tymczasem przestrzeń, na której znajdują się wyżej wymienione zbiorniki wody, przedstawiała olbrzymią połać morską, nazwaną przez badacza angielskiego Śródziemnomorzem aralo-pontyjskiem. Morze to fiordami (dolinami Wołgi, Uralu, Dunaju) wrzynało się głęboko w ląd i wylewało nadmiar wód swoich Obią do oceanu Północnego. Skutkiem tego, na całym tym obszarze panował jednostajny a wilgotny klimat morski i rozmieszczenie buku zgoła nie odpowiadało temu, jakie dzisiaj widzimy — słowem, zapadają wszystkie dowody, zaczerpnięte z lingwistyki porównawczej i usiłujące wyznaczyć kolebkę pra-aryjską na zasadzie fauny i flory. Z drugiej strony dostęp do Azyi był utrudniony, wody bowiem odgraniczały stanowczo równiny północno-europejskie od Azyi mniejszej, Kaukazu, Eranu; w Azyi zaś środkowej to samo czyniły góry. Blondyni wówczas mieli wszystkie warunki dla czystego rozwoju rasowego wdłuż jednostajnych pod względem klimatycznym przestrzeni Europy północno-wschodniej. Wszystko to uległo zmianie z przebiciem przez wody przejścia dardanelskiego, którędy część wód aralo-pontyjskich odlało się do dzisiejszego Śródziemnomorza. Podniesienie znów lądu azyatyckiego osuszyło klimat i ostatecznie przyczyniło się do zmniejszenia obszaru, zalanego wodą. Część blondynów Kaukazem i Turkestanem wtargnęła do Eranu i stąd do Indyi, tymczasem gdy grupy mongolskie parły na zachód, odcięły eudo-eranów od reszty współbraci, a mieszając się z blondynami dając początek ludom fińskim. Z całą słusznością można przypuścić, iż blondyni nie przebywali w jednem tylko miejscu, lecz zaludniali całą przestrzeń od morza Niemieckiego do najbardziej wysuniętych na wschód części aralo-pontyjskiego Śródziemnomorza i rozpadali się na wielkie mnóstwo niezależnych plemion, mówiących zróżniczkowanymi już językami. Plemiona wschodnie, które wtargnęły do Eranu i Armenii, już w praojczyznie swojej przedstawiały zarodki późniejszych języków armeńskiego, zendzkiego i sanskryckiego; podobnie na północy i zachodzie mogły już zróżniczkować się prawzory celtyckie, germańskie, słowiańskie, litewskie; w odpowiedniem miejscu znowu helleńskie i trackie. W miarę osuszenia Śródziemnomorza aralopontyjskiego plemiona te rozeszły się jeszcze bardziej. O erańczykach można powiedzieć, że zróżniczkowanie ich na zendów i ojców sanskrytu nastało gdzieś w porzeczu Oxusa, lecz tylko to jedno pozostaje z dawnej teoryi azyatyckiego pochodzenia aryów.

Zresztą, zwracając się do przedhistorycznych dziejów Europy, o ile trzymamy się okresu neolitycznego (kamienia szlifowanego) oraz bronzowego i żelaznego, trudno dostrzedz jakichkolwiek śladów najazdu. Śniady krótkogłowiec i podłużnogłowy blondyn wreszcie Śródziemnomorzec mieszkają prawdopodobnie na tych samych przestrzeniach, na których spotykamy ich dzisiaj. Co więcej, pomieszanie ras europejskich już wtedy odbywało się na dość znaczną skalę. Również w zakresie kultury niema najmniejszego dowodu, aby takie wynalazki, jak hodowla bydła, uprawa roli albo sztuka metalurgiczna, przywędrowały z Azyi. Weźmy np. nadwodne osady Szwajcaryi. Możemy tutaj badać, jak odpowiednie ludy rozwijają się zwolna i dosięgają wyższego poziomu. Wprawdzie znajdujemy pewne materyały, pochodzące skądinąd: bursztyn, jacit, cynę, ale ojczyzna tych przedmiotów mogła leżeć w obrębie Europy, gdyż w tej części świata znajduje się zużyty dla ich wyrobu surowiec. W końcu, i uprawiane rośliny lub hodowane zwierzęta pochodzeniem swojem nie wymagają dalszych okolic nad południo-wschód Europy. Słowem, nie potrzeba wcale wyprowadzać aryów i posiadanej przez nich kultury gdzieś z Baktriany lub Pamiru. I język aryjski, i kultura mogły powstać w Europie, choć w dzisiejszym stanie nauki trudno twierdzić, która z ras europejskich przyczyniła się głównie do wyłonienia postępu technicznego. Natomiast Huxley podnosi inne pytanie. Dotarliśmy do epoki neolitycznej. Atoli człowiek istniał w Europie długo przedtem. Był on współzawodnikiem wygasłych gatunków zwierzęcych i widzem okresu lodowego. W jakim stosunku znajduje się on do ras dzisiejszych, w tej liczbie blondynów? Niektórzy chcą już w okresie lodowym widzieć w Europie przodków wszystkich rozpatrzonych trzech grup rasowych, inni gotowi przypuścić pewną przerwę w istnieniu dawnej ludzkości lodowcowej, jej wychodźctwo z nastaniem nowych czasów i ukazanie się dopiero dzisiejszych typów. Huxley nie daje pierwszeństwa żadnej z tych hypotez i natomiast podnosi sławną kwestyę neanderthalczyka. Czaszka znaleziona w Neanderthalu, przedstawia cały szereg wybitnych właściwości, spotykanych na czaszkach ze Spy i z kilku innych wykopalisk, tak iż trzeba było ją przyznać za przedstawicielkę szczególnego typu antropologicznego. Długogłowością swoją typ ów zbliżałby się z jednej strony do podłużnogłowego bruneta, z drugiej do podłużnogłowego blondyna. Virchow wśród niektórych blondynów obecnej Fryzyi zauważył niekiedy czaszki, w najwyższym stopniu przypominające neanderthalczyka. W takim razie można byłoby uznać w nim przodka aryów i pra-siedziby aryjskiej umieścić aż w epoce czwartorzędowej. Zaznaczymy, że takiem jest zdanie wielu wybitnych antropologów. Huxley jednakże wypowiada się w tym względzie z możliwą ostrożnością.

W powyższym wywodzie usiłowaliśmy przedstawić świeżą pracę wybitnego badacza angielskiego. Powiedzieliśmy już wcześniej, iż w rozprawie Huxleya nie spotykamy ani jednego nowego rysu. Innemi słowy, jest ona tylko streszczeniem sławnych poglądów, wyborem tych, które posiadają większą moc przekonywającą, odrzuceniem zaś innych, zanadto już mało udowodnionych lub ryzykownych. Latham, Schrader, Penka, Lapouge, Taylor i wielu innych pchnęli naukę na te tory, Huxley zaś niekiedy omija milczeniem mnóstwo badań nader ciekawych, chociażby nad zależnością pomiędzy typem antropologicznym, a naturą wydawanych przez organy mowy dźwięków — badań, które rzucają na pochodzenie mowy pra-aryjskiej interesujące światło. Szkic jednak Huxleya, lubo niewyczerpujący przedmiotu, pokazuje, jak „kwestya aryjska“ zmężniała niepomiernie i zmieniła się, odkąd pozbawiono lingwistów monopolu zajmowania się nią i odkąd antropologia przystąpiła do współudziału w rozwiązaniu tego zagadnienia.

k—i.

LITERATURA I SZTUKA.

NOWE KSIĄŻKI.

S. Nestorowicz, *W Brazylii i Argentynie* (str. 48, Warszawa) i A. Potocki *Listy z Brazylii* przez wychodzców do rodzin pisane (str. 56, Warszawa).

Autor pierwszej z tych książeczek przebył trzy lata w Ameryce południowej, skąd wrócił dopiero w lipcu roku zeszłego. Gorączka emigracyjna pobudziła go do spisania swych doświadczeń, w których ci, co przekonani być mogą, znajdą pouczające przestrogi. Według p. N. zarówno Brazylia, jak Argentyna nie przedstawiają przyjaznego pola dla kolonizacyi, zwłaszcza zaś kolonizacyi polaków, nieuzdolnionych do niej należycie. Oprócz warunków klimatycznych i przeszkód związanych z niską kulturą, pokonywać trzeba nadużycia, a nieraz prawdziwy rozbój władz tamtejszych. Z ciekawym a smutnym faktem zaznajamia nas autor, mianowicie, że przywóz naszych kobiet do Ameryki południowej w celach rozpusty jest bardzo znaczny. W samem Buenos-Ayres ma być tych ofiar niecnego handlu kilkaset, a skutkiem tego śród argentynek upowszechniła się obelga: „jesteś polka.“ Wątpliwem wszakże wydaje nam się twierdzenie autora, że „za jedną dostarczoną dziewczynę agent pobiera 10—20,000 fr.“

Druga książeczka wyraża swą treść w tytule. Jako zbiór oryginalnych listów, pisanych z Brazylii (a ogłoszonych w prasie), powinna być szeroko rozpowszechniona, gdyż może wywrzeć wpływ dobry.

M. Malinowski, *Mieszkania ludzkie*, jakie gdzie były, jakie są i do jakiej doprowadzono je doskonałości (str. 56, Warszawa).

Ponieważ broszurka wydana została nakładem *Zorzy*, więc jest przeznaczona dla ludu. Ponieważ zaś zawiera historyczny, licznemi ilustracyami objaśniony szkic rozmaitych postaci budowania siedzib ludzkich, począwszy od chat ludów dzikich, a skończywszy na gmachach nowoczesnych, więc możnaby przypuszczać, że lud nasz już bardzo wiele umie, skoro zaczęto go uczyć o szałasach hotentockich, piramidach egipskich i świątyniach greckich. Niestety, tak nie jest, i dlatego sądzimy, że książeczka p. M. właściwsza byłaby dla dzieci klas oświeconych, niż dla chłopków, którzy nigdy nie słyszeli o Laponii lub Australii i gotowi pomyśleć, że to są wsie odległych parafij.

Cz. Jankowski, *Sylwetki poetów* (str. 55, Warszawa).

Nasze studya krytyczne nad piśmiennictwami obcemi nie są pasmem prac badawczych, ale wytworem przypadku. Ktoś przeczyta jakąś książkę, pozna w całości jakiegoś autora — i opowie o tem czytelnikom. Skutkiem tego ogół nasz prawie niema pojęcia o Hebblu lub Lormie, ale może się dowiedzieć o Baumbachu i Scheffiu. Zawdzięcza to p. Jankowskiemu, który narysował wizerunki dwu ostatnich w swych *Sylwetkach*. Autor odznacza ich rysy znamiennie, rodzajowo, ale ponieważ mówi o nich tylko słowami zachwytu, więc jego bohaterowie nie mają dostatecznej wyrazistości. Piszą pięknie — oto wszystko, co o nich zatrzymujemy w pamięci po przeczytaniu jego rozprawy.

A. Lange. *Pogrzeb Shelleya*, (str. 34, Warszawa).

Są umysły, dla których Shelley jest największym poetą nowoczesnym, każdy zaś postawi go obok najznakomitszych. Wzrastająca w Europie fala uwielbień dla tego „serca serc“ potrąciła swym kręgiem i naszą literaturę, w której pojawiło się kilka przekładów i artykułów. P. Lange uczcił

osobnym wierszem pogrzeb Shalleya, którego zwłoki, jak wiadomo, zostały spalone na stosie po wydobyciu ich z morza. W utworze tym jest dużo uczucia, świetnych błysków fantazyi i barwnych obrazów, ale całość niema dostatecznej przejrzystości i jednostajnego tonu. Tak np. autor przedstawia Shelleya jako serce natury, mówi, że jego „puls drgał w takt pulsów wszechprzyrody,“ której również każe odczuwać boleść w jego śmierci, a zarazem wplata w swój opis obrazy szczególnego wesela natury:

> Ciepły, zachodni wietrzyk cicho tańczy,
> Ująwszy w parę (?) powiewne etery (?)
> Złotego puchu wonnej pomarańczy:
> Zda się, że słychać pocałunków szmery itd.

Za to pojedyncze ustępy są godne przedmiotu. Usterki w formie, nieścisłości w myślach, zresztą nieliczne, pomijamy.

MIĘDZYNARODOWA

WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH

W BERLINIE.

4 maja.

Uroczyste otwarcie wystawy berlińskiej, — Z przemowy dyrektora Wernera. — Układ wystawy.— Plastyka i rzeźby polskie. — Malarstwo polskie. — Węgrzy. — Włosi. — Holendrzy. — Anglia. — Malarstwo amerykańskie.

Wystawa berlińska, owo wielkie dzieło pokojowe, które dowieść miało światu, że cesarz Wilhelm II jest żołnierzem w duchu przysłowia rzymskiego: *si vis pacem, para bellum*, została dziś uroczyście otwarta. Znane są jej dzieje; byłaby ona największą dotychczas międzynarodową wystawą sztuk pięknych, gdyby francuzi nie byli się cofnęli. Lecz i bez nich posiada ona olbrzymie rozmiary i niezwykłą ilość dzieł doborowych. Cesarz, lubujący się w blasku imperatorów starożytnych, polecił, aby otwarcie wystawy odbyło się z całą pompą. Rodzina monarsza nadjechała w sześciokonnych karetach, otoczonych jeźdźcami, wyprzedzonych oddziałem kirasyerów w galowych mundurach. Od portalu aż do estrady cesarskiej tworzyli szpaler młodzi artyści w strojach paziów; na powitanie cesarza powiewali palmami pozłacanemi. W chwili, kiedy on przestąpił próg, odezwały się trąby; 150 śpiewaków i 140 muzykantów zaintonowało hymn na cześć orędownika pokoju i sztuk pięknych. Wilhelm II otworzył wystawę w imieniu swej matki, jako protektorki. Wyrzekłszy parę słów urzędowych, zeszedł z estrady, stanął przed Wiktoryą i krótką przemową uczcił sługi jej i zgasłego ojca jako opiekunów sztuki.

Z mowy inauguracyjnej dyrektora jeden podnieść chcemy ustęp. Wobec nowych kierunków, które obecnie wyłaniają się w sztuce — zauważył Werner — artyści berlińscy stwierdzają, że ona zawsze jeden tylko cel miała i mieć będzie: dążenie do prawdy najwyższej w ucieleśnianiu istoty świata zjawisk. Do celu tego wiedzie dróg wiele, a właśnie w walce kierunków było zawsze źródło rozwoju sztuki.

Rzućmy okiem na rozkład wystawy. Mieści się ona w olbrzymim gmachu, zbudowanym swego czasu z żelaza i szkła dla wystawy jubileuszowej w północno-zachodniej części miasta, tuż obok dworca Lertheńskiego. Wstępując, widzimy naprzód trzy sale obok siebie leżące, przeznaczone dla rzeźb. Posuwając się główną osią budynku, wchodzimy do sali przepysznie udekorowanej grupami plastycznemi, barwną architekturą i malowidłami na powale, przykrywającej sklepienie kopuły szklanej. Jest to sala reprezentacyjna, w której Wilhelm i Wiktorya przyjmowani byli przez komitet wystawy. Dalej idzie sala niewielkich rozmiarów, przeznaczona dla portretów rodziny cesarskiej i wielkich, ceremonialnych obrazów, jak: Kellera „Apoteoza cesarza Wilhelma I,“ Wernera obrazy z arsenału itd. Dopiero odtąd rozpoczyna się szereg oddziałów narodowych. Widzimy malarstwo węgierskie, z kolei włoskie, hiszpańskie, belgijskie i holenderskie, angielskie i amerykańskie; Niemcy mają sale osobne dla poszczególnych miast. Jest więc düsseldorfska, parę monachijskich, trzy berlińskie itd. Obok sal głównych grupują się poboczne, mniejsze, a dokoła gmachu ciągną się oszklone galerye, w których pomieszczono akwarele, rysunki i wzorowe sztychy.

Malarstwo polskie zajmuje osobny, mniejszy budynek, t. zw. Maschinenhalle, w której pomieszczono też plany architektoniczne.

Zajrzyjmy naprzód do oddziału plastycznego. Trudności przewozu wstrzymały rzeźbiarzów zagranicznych od liczniejszego udziału w wystawie. Widzimy tu prawie wyłącznie prace artystów niemieckich. Profesor Simmering okazał części składowe wielkiego pomnika Washingtona, który wykonywa dla Fladelfii. Washington, jako wódz, na pysznym jadący rumaku, jest postacią nawskróś wyidealizowaną. Piękna jest grupa zdobiąca postument pomnika: Ameryka budzi swych synów do walki. Całość nie wychodzi po za ramy dawnego stylu akademickiego. Styl ten właściwy jeszcze jest większości rzeźbiarzy berlińskich. Herter i Eberlein, a nawet Begas, których marmurowe rzeźby na pierwszym pomieszczono planie, kują ciągle jeszcze boginie i nimfy greckie w owym zepsutym, pseudo-klasycznym smaku. Tu i owdzie jeno wyłania się tendencya unowocześnienia rzeźby, bądź to co do motywów, bądź co do techniki. Takiem nowoczesnem dziełem jest Baumgartena matka, opłakująca śmierć ulubionego dziecka. Jest to kobieta o szlachetnej budowie, zakrytej haftowaną koszulą, siedząca w fotelu nowoczesnym; na kolanach jej spoczywa nagi, wychudły chłopaczek, który dopiero co ducha wyzionął. Kilku artystów wystawiło rzeźby malowane, które istotnie przewyższają kamień biały ciepłem i znamionami życia: taką jest dziewczyna Toberentsa, takimi biusty Kleina. Holendrzy nadesłali parę rzeźb socyalistyczno-naturalistycznych: Haserkamp wynędzniałą kobietę z niemowlęciem u piersi, Meunier górnika, który poniósł śmierć w szachcie, a nad którym pochyla się zrozpaczona żona.

Rzeźb polskich, pomieszczonych w oddziale malarstwa, jest ogółem 22. Welońskii wystawił swego „Gladyatora“ i „Niewolnika tańczącego,“ Marczewski „Kordeckiego,“ Prószyński „Św. Sebastyana,“ Pyrowicz „Kokietkę,“ biust terakotowy. Z prac Marcinkowskiego zasługuje na uwagę „Zagłoba,“ biust terakotowy i marmurowy medalion Paderewskiego. Rygier nadesłał pięć dzieł, z których „Kopernik,“ statuetka odlana w bronzie, ujmuje swojem uduchowieniem. Są jeszcze mniejsze prace Barącza, Błotnickiego, Hakowskiego i Wojtowicza.

Malarstwo polskie przedstawia się okazale w oczach publiczności i krytyków berlińskich, którzy o istnieniu tak rozwiniętej sztuki naszej wyobrażenia nie mieli. Z nadesłanych 360 obrazów dla braku miejsca pomieszczono jeno 160. Obecni tu artyści polscy twierdzą, iż komitet nie był niesprawiedliwym lub złośliwym w doborze obrazów i jeżeli pomimo to oddział polski nie odzwierciedla malarstwa polskiego w pełni, to winien temu tylko brak porozumienia się pomiędzy artystami. Wiele ozdób przybędzie zresztą oddziałowi temu w początku czerwca, kiedy wraz z obrazami austryackimi nadejdą polskie, pomieszczone dziś na wystawie wiedeńskiej. Z wielkich płócien polskich wymienimy „Skargę“ Matejki i Brandta „Pieśń kozaków.“ Siemiradzki wystawił pięć obrazów, z których najwybitniejszym jest „Kuszenie św. Hieronima.“ Jest to płótno niewielkich rozmiarów; świetny pędzel znalazł tu wdzięczne zadanie w grupie uroczych bachantek, pojawiających się pustelnikowi. Wojciecha Piechowskiego „Chrystus na krzyżu“ wzbudzi zapewne uwagę jako najbardziej naturalistyczny obraz religijny ze znanych dotychczas. Chrystusa przedstawia Piechowski w postaci historycznej: mała, podsadkowata postać, w konwulsyach ściskająca nogi, oblana strumieniem krwi z pod wieńca cierniowego, jest istotnie ostatnim wyrazem naturalizmu; pstre szaty kobiet, klęczących u krzyża, dopełniają całości, która ma wszelkie pozory prawdopodobieństwa historycznego, ale która nie jest już dziełem sztuki, lecz egzekucyą oprawcy, przykre sprawiającą wrażenie. Kazimierz Alchimowicz wystawił oprócz znanego już obrazu „Ostatnie chwile Glińskiego“ — „Mildę,“ Wenerę mitologii litewskiej. Jest to rzecz, zdaniem naszem, chybiona. Widzimy Mildę wśród gęstwiny leśnej, oblanej światłem przedzierającem się przez gałęzie. Trudnego tego zadania kolorystycznego Siemiradzki nawet nie rozwiązał doskonale; Alchimowicz doń nie dorósł. Pierwszy czaruje przynajmniej skończoną pięknością obnażonych kobiet; Alchimowicza Wenera zaś, to model źle dobrany a wiernie skopiowany. Wojciech Gerson nadesłał trzy obrazy: „Królowę Ryxę,“ „Czarnystaw“ i „Branki“ tatrzańskie. Z licznych pejzażów Chełmońskiego krytyce berlińskiej przypadnie ponoć najbardziej do smaku krajobraz zimowy, pole śniegiem pokryte, po którem stąpają kuropatwy. Z obrazów rodzajowych najcelniejsze są Żelechowskiego „Wywłaszczenie,“ Piotrowskiego obraz wiejski „Przed ślubem“ i Zarębskiego „Święto w stajni.“ Zwłaszcza Żelechowski w mistrzowski sposób oddał typy włościan, opuszczających chatę i żyda-arendarza, patrzącego na nich z pedełba i kręcącego siwą brodę. Antoni Piotrowski wystawił nadto kompozycyę mitologiczną o niepospolitej piękności. Jest to sielanka nimf i satyrów, ugrupowanych w dolinie około ognia. Z portretów polskich największe budzą zajęcie prace Bilińskiej, Horowitza i Pochwalskiego. Matejki portret hr. Tarnowskiego w stroju rektorskim nie stoi na wyżynie marszałkowskich portretów mistrza krakowskiego. Obfite pochwały zbierze zapewne Piotr Stachiewicz za cykle rysunków, ilustrujących bajki polskie.

Poprzestajemy na tem krótkiem sprawozdaniu z oddziału malarstwa polskiego, aby rzucić jeszcze okiem na sale gmachu głównego, poświęcone malarstwu innych narodów.

Węgry celują obrazem rodzajowym i portretami. Oba te rodzaje łączą Munkaczy i Vastagh w wielkich portretach pań oddanych na tle buduarów. Munkaczy wystawił też wielki olejny szkic obrazu, zdobiącego powałę wiedeńskiego Muzeum dla sztuk pięknych. Jest to apoteoza Odrodzenia, niezbyt głęboko pomyślana, ale technicznie zajmująca. Munkaczy rysuje bowiem postacie i architekturę w skróceniu perspektywicznem na sposób Correggia i mistrzów barokowych. Węgierski obraz rodzajowy, używający dziś sławy zasłużonej, reprezentują godnie Margitaya „Miodowe miesiące“ i Peskego „Chłopcy spożywający ziemniaki.“

Malarze włoscy hołdują przeważnie impresyonizmowi. Tą drogą posuwają się częstokroć aż do karykatury kolorystycznej. Patrząc na Carcaniego obraz z nad wybrzeża morskiego, sądziłbyś, że to płótno podłożone dopiero przez artystę: widać jeno plamy barwne, z trudnością rozpoznasz przedmioty. Lecz że techniką tą wykonywać można i obrazy mistrzowskie, o tem świadczą płótna Michettiego, przedstawiające życie lu-

dowe we Włoszech. I tu rysunek zupełnie prawie zatracony: powietrze łączy postać z postacią, grupy ludzi z architekturą i ziemią. Lecz niepodobna wierniej oddać wrażenia, jakie czynią na nas przedmioty w dzień jasny, słoneczny, obserwowane z pewnego oddalenia. Ozdobą oddziału hiszpańskiego jest wielkich rozmiarów obraz Rosellego „Modlitwa chłopów.“ Przed wiejskim obrazem Matki Boskiej klęczą wieśniacy we wczesnym poranku; z grupy tej wystaje postać młodej, smukłej dziewczyny, zapatrzonej w dal. Postać ta, typ hiszpanki ciemnookiej, rysuje się na tle nieba mlecznego, lekko zaróżowionego. Jest to efekt kolorystyczny rzadkiej piękności. W tym względzie hiszpanie celują na wystawie berlińskiej; obrazy hrabiny de Bannuelos, przedstawiające dziewczynkę senną i budzącą się, są koncertami kolorystycznymi, jakich nie widziano chyba od śmierci Makarta.

Z rzędu następuje oddział belgijski. Tu publiczność gromadzi się przed wielkim obrazem Slingeneyera „Ostatni dzień w Pompei.“ Czerwona łuna oświetla obraz cały. Pompejanie z poduszkami na głowie uciekają przed gradem kamieni; za niemi tłoczy się bydło ryczące. Jest to kompozycya pełna grozy, odznaczająca się mistrzowskim rysunkiem. Niezwykłą siłą charakterystyki uderza obraz Meuniera „Powrót robotników z kopalni.“ Oryginalną malowany manierą, z energicznem uwydatnieniem konturu, oddaje obraz ten typy robotnicze z całą prawdą życiową. I holendrzy chętnie dziś obierają motywy dla obrazów z życia robotników. Frederich okazuje nam rodzinę, spożywającą skromny objad w pobliżu fabryki. Franciszek van Leemputten charakteryzuje w sposób niezrównany prowincyę holenderską w obrazie „Dimanche des rameaux au Campine.“

Anglia nadesłała przeważnie portrety, wśród których znajdujemy utwory pierwszorzędne. Hubert Herkommer, malarz słynny dziś i olbrzymie zarabiający sumy, odwiedził wioskę rodzinną, gdzie w ubogiej urodził się chacie: tam zdjął portret swego sędziwego ojca. Starzec ten, to studyum, godne stanąć obok najcelniejszych portretów szkoły niderlandzkiej. Najprzyjemniejszym atoli jest Richmonda portret hrabianki Hood. Młoda ta kobieta, o szlachetnej budowie i niezrównanej słodyczy w twarzy, usadowiona w olbrzymiem, starożytnem krześle, niby na tronie, tchnie majestatem, który dziwnie widza przykuwa. Po „Miss Grant“ Herkommera jest to bezwątpienia najpiękniejszy portret z lat ostatnich.

Niespodziankę zgotowali światu artystycznemu amerykanie. Zwykliśmy przypuszczać, że ów kraj przemysłu i techniki niezdolny jest do produkcyi artystycznej wyższej miary. Istotnie to, co widziano jeszcze przed paru laty, niekorzystne jeno wyrabiać musiało wyobrażenie o stanie sztuki amerykańskiej. Lecz właśnie w kilku ostatnich latach całe pokolenie młodych artystów ukończyło wyższe studya w Paryżu i w Monachium, a prace ich, zebrane dziś na wystawie berlińskiej, obudziły ogólne zdumienie. Pomiędzy oddziały narodowe wsunięto salę, mieszczącą najcelniejsze płótna malarzów wszechnarodowości. Tu zawieszono wielki obraz amerykanina Melchersa „Wieczerza.“ We wnętrzu domku wiejskiego widzimy wieśniaków zgromadzonych około stołu, przemawia do nich duchowny z kielichem w ręku. Postacie te, naturalnej wielkości, występują tak plastycznie z płótna, iż na pierwszy rzut oka nawet widz zwyczajny, przekonany jest, że to dzieło pierwszorzędne. Czem bardziej zaś zagłębimy się w ten obraz, tem liczniejsze spostrzegamy zalety; jest w nim charakterystyka tak głęboka, humor tak spokojny, technika tak umiejętna, że gdyby amerykanie mieli jednego tylko Melchersa, już by o sztuce ich obecnej z szacunkiem mówić należało. Lecz malarstwo amerykańskie jest dziś tak wielostronne, tyle posiada talentów, własną idących drogą i dowodzących niewątpliwego poczucia artystycznego, że usuwa prawie obawy sceptyków, iż wiek pary grzebie sztukę i nowej wydać niezdolny. Co prawda, malarstwo to jest tak młode, iż artyści nie mieli jeszcze czasu technikę zdobytą w Europie zastosować do tematów swojskich, lecz trzymać się musieli po większej części wzorów europejskich. Tu i owdzie jednak spotykamy już obrazy, które na pierwszy rzut oka obudzają domysł, że wyszły z pod pędzla amerykańskiego. Najcelniejszym z tych płócien czysto amerykańskich jest „Ostatni bawół“ Bierstadta, przedstawiający walkę czerwonoskórego amerykanina na pysznym, nieosiodłanym rumaku, z olbrzymim bawołem. Walka ta, w której przebija się potężna siła dramatyczna, odbywa się na tle nieskończonego stepu, przeciętego błękitnym strumieniem.

Tyle na dziś z wystawy. Stanęliśmy u progu oddziału niemieckiego, który przejrzymy w liście następnym.

Ladawa.

POEZYA.

Jan Kasprowicz.

Z CYKLU: CHŁOPSKA DUSZA.

Marcin Szafran.

(Dokończenie).

I to nim jeszcze straszliwie rzucało,
Że zczerwienione znacznie miał powieki;
Ludziska w oczy gadali mu śmiało,
Że jest jak królik, że powinien leki
Znaleźć i na to, jako jest niemało
Przeróżnych lekarstw pomiędzy „narodem.“
Chodził i chodził, ale jak te rzeki
W tył się nie cofną, żar nie będzie lodem,
Tak ona krew nie zginie pod tych powiek spodem.

Ano i nieraz, kiedy się zobaczy
W małem lusterku, co przy sobie zawsze
Nosił w zanadrzu, tak z wielkiej rozpaczy
Wydaje mu się, że z dniem każdym krwawsze
Są te powieki i że twarz się znaczy
Coraz to bardziej piegami, że oto
I ludzkie ślepie patrzą nań ciekawsze;
Więc, aby skończyć z nieszczęsną „żorotą,“
Podąża do karczmiska — błoto, czy nie błoto...

I z „mankolii“ przytupuje nogą
I rozmaite wyprawia przysiudy,
Aż się kolana stykają z podłogą,
Aż się na głowie włos rozwiewa rudy;
Bije się w pięty i skroń marszczy srogą,
Na szyi ciasną rozpina koszulę;
Wyłupia oczy, drze się — bez obłudy,
Szczerze, jak słońce; wydzwania piosnule,
Jak kocioł popękany lub świszczące kule...

Juścić w spokoju nieraz sam tłomaczył
Swojemu sercu, ażeby też więcej
Miało rozwagi; lecz tak już przeznaczył,
Widno, sam Pan Bóg het! od lat tysięcy,
Bo Adam w raju, gdy Ewę zobaczył,
Tak ci od razu, choć był bożym tworem,
Mózg mu się zmienił niby w mózg cielęcy:
Nic, ino z Ewą siak i tak, wieczorem
I rano—wciąż przy swojej w miłowaniu skorem.

Prawda, że potem Pan Bóg się pogniewał
I niby z raju wypędził Adama,
Ale to z tego, że za głośno śpiewał,
Że pieścił Ewę, choć nie chciała sama.
Skutek był taki, że odtąd odziewał
Adam swą nagość; lecz to rzeczy znane:
Świecić golizną przystoi dla chama,
Dlatego licho, co to wciąż pijane —
Stateczny człek ma zawsze na plecach sukmanę.

Tak sobie często medytował w głowie...
Ale któż wie to, byłby może wreszcie
Swojemu sercu kazał, co się zowie,
Aby milczało na wdzięki niewieście,
Gdyby nie jedna, co mu wzięła zdrowie
Już całkowicie: raz, kiedyś, przypadkiem,
Córka Bartoszki, w dzień odpustu, w mieście,
Z wielkiej szczerości—zbyt to było rzadkiem—
Raczyła nie Wiechetkiem nazwać go, lecz bratkiem.

A no, jak bratek — odrzecze — to bratek!
Bóg że ci zapłać, chociaż, mówiąc szczerze,
Oddałbym raj swój i chleba ostatek,
Gdybyś mnie mężem... Niech cię licho bierze—
Parsknie dziewczyna i w te tropy płatek
Do warg przyłoży, aby ukryć śmianie...
A co? — zapyta Szafran — czy ja zwierzę?
Czy mnie to nie stać na ludzkie kochanie?
Powiadam ci, że szczęścia na zawsze nam stanie!

Odtąd zupełnie biedne Szafranisko
Otumaniało... Zawsze tak sprawował,
Iżby się znalazł koło dziewki blizko;
Drogę zachodził, za płoty się chował,
Aby ją ujrzeć; drżał, jak zbite psisko,
Bóg wie, dlaczego, kiedy mu przed oczy
Tak wręcz stanęła... Wiesz, tobie konował
Bardzo potrzebny, niech ci krwi utoczy —
Mawiała wtedy Kaśka—w ślepiach ci się mroczy.

O tak! mroczyło mu się! oj! mroczyło!
I język w gardle także stawał kołkiem.
Chciał nieraz mówić: Dobrze by to było,
Gdybyś tak, Kasiu!.. chciał ją zwać aniołkiem;
Lecz zamiast tego, tak się to złożyło,
Że zaczął piszczeć: Kasia?! u młynarza,
Da! u młynarza Marcina *)... Rosołkiem —
Wbrew mu się dziewka zaraz przekomarza —
Kluseczki podlewają, wszędzie to się zdarza...

Ba! ba! i u mnie też na rosół starczy;
Mam chałupinę, niezgorszy ogródek
Na pulchnej glebie, nie śród żadnych karczy;
Laczek w nim rośnie fiu! fiu! — aż się ludek
Cały dziwuje, aż z zazdrości warczy...
I gołębniczek... hoduję gołąbki,
Białe i czarne i pełne obwódek
Pstrych na tych szyjkach; same ci do gąbki
Polecą, na ich miąsku stępisz sobie ząbki...

I nieraz laczek wciska jej do ręki,
Jako nad wszystkie kwiaty lak jest górą,
Bo to i w palcach niby jedwab miękki,
I w oko wpada tą swoją purpurą
I ślicznie pachnie... róży całe pęki
Niby tak wonią nie idą do nosa...
Czasem gołąbka przyniesie — ot, z córą
Starej Bartoszki chciał być co do włosa
Na sobie: tak mu nogi podcięła, jak kosa...

Gołąbek — mówi — widzisz, ty Kasiusiulu,
— Niby tak w piśmie stoi — jest oznaką
Wielkiej miłości... Nie zadawaj bólu,
Daj „ożeń-że się,“ nie bądź przecie taką,
Będzie weselej... będzie: lulu! lulu!
Mały gołąbku!.. Ale to dziewusze
Było do śmiechu. Daj ty spokój lakom
I tym gołąbkom, powiedzieć ci muszę —
Lub—jeśli chcesz, to czekaj, może się i wzruszę...

Tsia! kpiła sobie pocieszna bestyja...
Ale on czekał; niby brał jej słowa
Ta „na doprawdy...“ Aż tu roczek mija,
A z Kaśki naraz żona już Wojtkowa...
Szafrana wielka wzięła mankolija,
I jeszcze bardziej utracił na cerze —
Zżółkł i posmutniał i — gołąbki chowa
I tak hoduje... czasem mu się zbierze
Na ambit, jako — mówi — babom już nie wierzę!

Wtedy, choć stary, przytupuje nogą —
Na przypomnienie; wyprawia przysiudy,
Aż się kolana stykają z podłogą,
Aż się na głowie włos rozwiewa rudy;
Bije się w pięty i skroń marszczy srogą,
Na karku ciasną rozpina koszulę,
Wyłupia oczy, drze się — bez obłudy,
Szczerze, jak słońce; wydzwania piosnule,
Jak kocioł popękany lub świszczące kule...

---

*) Pieśń gminna.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

29 kwietnia.

Wystawy obrazów. — Nieudolność p. Welońskiego. — Zarząd Towarzystwa Dobroczynności. — Szkoły parafjalne. — Sprawy bieżące.

Wystawy obrazów w tym roku mają inną cechę, niż dawniej: mniej widoków, więcej opracowania i jednocześnie brak twórczości.

Na wystawie ruchomej tylko jeden obraz pokusił się o szerszy zakres, mianowicie p. Lebedewa: „Ostatnie chwile niezawisłości Nowgorodu — wywiezienie dzwonu sejmowego (wieczowaho). Na pierwszym planie widzimy tu Martę-rządczynię. Jej postać, podług zdania autora, powinna wyrażać boleść, która nie roztapia się we łzach, lecz jak posąg granitowy trwa wieki... Niestety, nic nie wyraża. Lepiej się udał starzec zastygły w ruchu pełnym grozy i przerażenia, prorokujący bliski koniec świata.

Na wystawie Akademii i sztuk pięknych zaznaczmy obraz p. Gellera: odsyłanie dzieci z domu podrzutków na wieś. Do wagonu wsiadają za swymi przedmiotami zarobku wieśniaczki, niektóre z nich zatrzymują się na stopniach... Nieszczęsne matki żegnają swe pisklęta. Na obliczach rodzicielek, a nawet w ruchach tyle boleści i trwogi, że najzaciętszy moralista nie potrafi chyba odmówić im instynktu macierzyństwa i uczuć. Gdyby moraliści tak troszczyli się o swe dzieci, możeby ich nie odsyłano do wiosek.

Rzeźby są nader wykwintne. P. Popow utworzył nader wdzięczną, szczupluchną niewiastę, której dał miano Kleopatry. Szkoda — jak się wyraził jeden z profesorów tego działu — że typ owej niewiasty przypomina nie egipcyankę, lecz angielkę.

Z prac Bakałowicza — maluczki, wdzięczny obrazek: tancerki pląsające na brzegu morza południowego. Pytanie, czy p. B. nie umie wznieść się nad poziom wiecznych pląsów? Piękno dla piękna jest rzeczą dobrą i dziś popłatną, lecz piękno i myśl w połączeniu tworzą mistrza, wieszcza... Nad tem wartoby zastanowić się. Posąg Bojana p. Welońskiego stoi u wejścia do świątyni sztuk piękna i gromadzi przed sobą licznych widzów. Patrząc nań, odtworzyło się w mej pamięci humorystyczne opowiadanie pewnego artysty z Galicyi, dla czego Kraków nie chce poruczyć p. W. wykonanie pomnika Mickiewiczowskiego.

— Szanowny panie, Weloński wcale nie jest genialnym. Wyobraźcie sobie, gdy wyrzeźbił w swym czasie Jana Sobieskiego, zebraliśmy się na uroczystość odsłonięcia, zrobiliśmy wszystko, co każe zwyczaj i czekamy dalszych następstw, to jest dobrego śniadańka, wiwatów na cześć mecenasów itp. Napróżno czekaliśmy. P. W. uścisnął nam ręce i odszedł. Sądźcie sami, czy człowiek genialny tak postępuje! Wkrótce też dostał za swoje. Jego rzeźby dla miasta Lwowa postawiliśmy w pakach: jak przyjechały, tak wróciły, nie spojrzeliśmy nawet na nie... Takie to dajemy nauczki za poniewieranie naszemi świętemi tradycyami.

Pomnik Mickiewiczowski!.. Gdy Matejko naszkicował projekt, zawezwano przecie Welońskiego, wraz z Gadomskim i Rygierem do wykonania projektu; dlaczego nie chciał opracować cudzej myśli, skoro wiedział, że sam choćby stworzył ósmy cud świata, nieby nie zyskał: nie postarał się przecie zawczasu o możną protekcyę.

— Jakże teraz stoi sprawa pomnika?

— Nie źle! Gdy ze 120 tysięcy guldenów na koncerty, poczęstunki, wiwaty itp. niezbędne rzeczy uleciało 20 tys. zatrwożyliśmy się nie na żarty. Natenczas oświeciła nas genialna myśl — zdać całą sprawę pod opiekę hr. Przeździeckiego. Odtąd obiady, łakocie popłyną z jego kieszeni, a nadomiar p. hrabia może będzie o tyle łaskaw, że i stracone tysiączki powetuje.

Zaledwie złożyło się wszystko pomyślnie, rzuciliśmy się z artystycznym zapałem do podwojów Mecenasa; najnieudolniejszymi okazali się pp. Gujski i Weloński, najśwawszym zaś p. Dykas.

Tuszymy, że wkrótce będziemy mieli pomnik obmyślany przez panią hrabinę i wyrzeźbiony przez p. Dykasa; jeżeli zaś okażą się w nim niektóre braki (w pomniku), postawimy go w jakimś ciemnym zakątku i wszystko będzie dobrze. Tak to u nas! — dokończył artysta chełpliwie.

Zarząd Katolickiego Towarzystwa Dobroczynności wytęża całe siły, aby rozszerzyć swą działalność, chociaż spotyka u społeczeństwa obojętność, a nawet przeciwdziałanie. Tak, upewniano mię, że artystka J. nie dobrowolnie zrzekła się uczestnictwa w koncercie, lecz pod naciskiem pewnych osób — wszystko na świecie bywa.

Ilość członków Towarzystwa w ubiegłym roku zmniejszyła się o 24. Na zapomogi i wychowanie dziatwy wydano 20,565 rs. Kapitał Towarzystwa stanowi 122 tys. rs.

W szkole parafialnej męskiej, utrzymywanej kosztem administracyi kościoła, zarząd dobroczynności miewał 30-tu internów, za których utrzymanie płacił administracyi pewną kwotę.

Mijał rok, drugi, nieprzygotowany do pracy umysłowej mózg dziecka, gdy go jęto obarczać prawidłami pięciu języków (greckim, łacińskim, francuskim, niemieckim i ruskim) częstokroć przestawał przyjmować wrażenia i dziecię, jako niezdolne, musiano wydalać ze szkoły. Przytem kończyła się i opieka dobroczynności. Innego sposobu do utrzymywania swych wychowańców zarząd nie miał. To też ludzie dobrej woli, których w liczbie członków zarządu nie brak, zaczęli kołatać do władzy o pozwolenie towarzystwu dobroczynności otworzenia własnego przytułku. Starania odniosły pożądany skutek.

Dziś Dobroczynność przyjmując pacholę ma je zasilać wiedzą elementarną i bacząc na wrodzone zdolności oddawać do rzemiosł lub do szkoły. Wychowańców, jeśli środki pozwolą, będzie utrzymywało pięćdziesięciu.

W istniejącym oddawna przytułku dla dziewcząt obecnie mieści się ich 52; tym sposobem cała setka istot co kilka lat zostanie wyrwana ze szpon nędzy.

O obecnym zarządzie Towarzystwa dobroczynności możemy powiedzieć, że rzadko się chyba zdarzają tak zabiegliwi i zgodni w swej działalności członkowie; nie dziw też, że gdy jeden z ich grona, p. Czopowski chciał opuścić zarząd, ogólne zebranie dołożyło wszelkich starań i zniewoliło go wreszcie pozostać nadal. Szkoda, że społeczeństwo po za tańcami na balu dobroczynnym mało interesuje się tą instytucyą.

Zaznaczyć jednak winniśmy, że p. Piotrowska na urządzenie przytułku ofiarowała sprzęty, odzież, pościel — około 2000 przedmiotów.

Zajrzmy do szkół parafialnych.

Trzeba wiedzieć, że szkoła żeńska była i jest benjaminkiem administracyi; dla niej nie szczędzono kosztu, opieki i przestrzeni, gdy szkoła męzka w lokalu ciasnym pędziła żywot smutny.

Co się tyczy wykładów, od kobiety, jak zwykle, mniej się wymaga; ale nie mało zwraca się uwagi na zalety zewnętrzne: taniec, tradycyjny fortepian i mowę francuską. Chłopcy uczą się poważniej, lecz nawał języków, spadając na głowę pacholęcia, sprowadza smutne następstwo zupełnego odurzenia. Nie dziw więc, że mało uczniów wydobywa się z toni i otrzymuje atestat.

Z czasem mam zamiar opisać historyę szkół od początku ich istnienia, obecnie zaznaczę tylko, że jeśli cofniemy się o lat dwadzieścia wstecz, ujrzymy, iż szkoła męzka miała zaledwo kilkunastu uczniów, dziś ich liczba we wszystkich oddziałach przenosi dwie setki, co dowodzi, że się ona krzepi i wzrasta.

Pełniący obecnie obowiązek inspektora szkoły p. Szaniawski dosłużył się swej godności jak żołnierz na posterunku. Przeszło 20 lat był nauczycielem matematyki, przetrwał i takie czasy, gdy nauczyciel z uczniami robili składkę, aby kupić jakiś przyrząd fizyczny, globus, mapę geograficzną, lub buty dla bosego chłopaka. Nie dziw, że uczniowie, co ukończyli szkołę nawet przed laty 15-tu, nie zrywają stosunku ze swym szanownym nauczycielem.

Dziś wszelki niedostatek w samej szkole staje się legendą; administracya coraz troskliwiej zagląda do jej wnętrza.

W tym roku jeden z syndyków — p. Zaborowski — dla braku czasu zrzekł się trudnej i wymagającej znacznego mozołu posady. Nowy syndyk — profesor Rudzki podniósł kwestyę lokalu szkoły i podobno sprawa przyjmuje pożądany obrót.

Z nastaniem szczęśliwszych czasów, ukazują się na widnokręgu i szczęśliwsi ludzie; wieść głosi, że pomimo dobrych chęci szanownych syndyków p. Szaniawski może nie zostanie zatwierdzony w swym obowiązku — dla czego? Przypuszczamy, że owe posłuchy są baśnią. Zresztą, komu jest znana historya Belizaryuszów, ten wie, że gdy się potrąci o namiętność ludzką lub interes, wszelkie zasługi idą pod ławę. Chcąc kogoś upiec na rożnie, można zdobyć się na piękne wykrzykniki: postęp! nowsze wymagania! doskonalsze rozporządzenia! etc. etc.

Zmarł znany publicysta Szelgunow.

Adwokaci czynią przygotowania do uczczenia p. Spasowicza w dniu 25-cio letniej jego działalności prawniczej, to jest 31 maja st. st.

N. B.

PAMIĘTNIK.

Towarzystwa.

Wysokiej wartości nabytkiem ostatniego dziesięciolecia jest kilka stowarzyszeń, które nadają naszemu życiu społecznemu większą niż przedtem organiczność — i dlatego uważnie śledzimy ich rozwój, uwydatniający się w sprawozdaniach i zebraniach rocznych. Rozwój ten jest zwykle słaby, paraliżowany tradycyjnemi wadami naszego charakteru: zawichrzają go nadmiernie rozrosłe egoizmy, paraliżują braki poczucia obowiązku, szybko omdlewająca energia i niedbalstwo. Ale niech będą żółwiami, aby tylko się poruszały. Towarzystwo wzajemnej pomocy subjektów handlowych i przemysłowych m. Warszawy wydało swoje sprawozdanie za rok ubiegły. Tego rodzaju spowiedzie wyróżniają się korzystnie od innych podobnych opowieści zarządów tem, że są szczersze i zawierają wyznania grzechów. Tak np. wydział „rekomendacyi pracy," tłomacząc szczupłość swych działań, do nieprzyjaznych warunków zalicza następujący: „Brak nam także skrupulatności i ścisłości w wykonywaniu przyjętych przez nas obowiązków, idzie nam o to, aby wszystko jak najprędzej zbyć. Niedogodność tę widać i w ofertach, składanych przez pracobiorców. Nierzadko się zdarza, że oferty takie są pisane niedbale i bez należytego starania. Czyż można wymagać od pracodawcy, aby przyjął urzędnika, który już w pierwszej konkursowej robocie zdradza obojętność i do pewnego stopnia lekceważenie?" Dalej czytamy: „Przy tej okazyi należy też zwrócić uwagę na cokolwiek wygórowane wymagania pracobiorców, którzy częstokroć nie zbyt wiele jako ekwiwalent dać mogą. Prawie wszyscy pretendują do znajomości języków ob-

cych, w przeważnej zaś liczbie wypadków tylko elementarne pojęcia o tych językach mają. Niema możności rozmówienia się z tymi panami w jednym z obcych języków, a kilka napisanych zdań zawiera zwykle niejedną omyłkę.“ Zarząd ubolewa nad niskim stanem wykształcenia kandydatów do pracy handlowej. Zapewne, ani on, ani jego korporacya nie mogą zaradzić w całości temu ubóstwu, ale doprawdy możnaby ją usunąć bodaj w części, gdyby biblioteka Towarzystwa subjektów *handlowych i przemysłowych* nie składała się *„prawie wyłącznie* (!!) z dzieł treści beletrystycznej.“ Taka biblioteka rozwinie tylko talenty powieściopisarskie i poetyczne młodych kupców i przemysłowców, ale nie wzmocni uzdolnień handlowych i językowych. Zresztą w tym domu Merkurego nie należy żądać zbyt wiele światła. Stowarzyszenie, które liczy 1190 członków, a wydaje rocznie 185 rs. 65 k. na książki i 106 rs. 85 k. na czasopisma, chyba nie czuje w sobie zbyt wielkiego pragnienia wiedzy. To też może słusznie p. Grosser wyrzucał zarządowi na zebraniu, że nie zużytkowano wyznaczonych w budżecie 400 rs. na bibliotekę, naturalnie jeżeli nie myślał „prawie wyłącznie o dziełach treści beletrystycznej.“

„Alboż my to jacy tacy“ — powiedzieli sobie „sprężyści“ i dali widowisko, odegrane niedawno przez „dzielnych.“ U cyklistów powtórzyło się to samo, co u wioślarzów: skutkiem zarzutów zarząd zrzekł się piastowanych godności, musi więc być zwołane drugie zebranie dla wyboru nowych kierowników. Osią niesnasek było wadliwe (według opozycyi) „książkowanie“ cyfr dochodowo-rozchodowych, które niedobór zamieniło na zyski. Podobno chmury tej burzy już powoli przeciągają, a po ulewie nagan zaczyna się barwić tęcza nadziei, że wybrany zarząd puści w niepamięć swoje urazy i pozostanie przy komendzie roty bicyklowej. Życząc obu stronom tej zgody, zrobimy tu tylko jedną uwagę. Zarówno w sprawozdaniu subjektów (komisyi rewizyjnej), jak na zebraniu cyklistów wytknięto błędy buchalteryjne. Ponieważ o złą wolę nikogo posądzać nie należy, więc dziwnem jest, że w stowarzyszeniach, posiadających tylu członków, obeznanych z prowadzeniem ksiąg handlowych i układaniem bilansów, zdarzają się tego rodzaju omyłki. Rodzi je chyba zbytni pośpiech roboty, którego należy się strzedz dla uniknięcia tych starć i oskarżeń, które są częstym a nieprzyjemnym mętem w rozprawach członków stowarzyszeń. Nieraz bowiem cietrzewie opozycyi, podnieceni namiętnością sporu, posuwają się w swych zarzutach dalej, niż im słuszność pozwala i zwykłym niedopatrzeniom nadają wagę przekształceń świadomych i celowych. *K. M.*

Prolog.

Jak łatwo u nas wszelka odmienność zdań przechodzi w wojnę kogucią, mieliśmy znowu przykład na polemice w sprawie biednych niemowląt. Pod wpływem odkrycia dokonanego u Skublińskiej i wogóle u kobiet, przyjmujących dzieci „na garnuszek,“ opracowano projekt dozoru nad takiemi żywicielkami. Komisya, złożona przez p. oberpolicmajstra, uznała projekt ten za nieodpowiedni. P. Suligowski, który go grzebał, opowiedział w *Kuryerze warsz.* o jego słabości i śmierci, wymieniwszy przytem dwu ojców, którzy go urodzili, a nie uratowali. Pp. Fritsche i E. Jachowicz, zarzucili p. S. kłamstwo, ten zaś odrzucił kamień do ich ogródków. Po naszemu. Zanim coś zrobimy dla niemowląt, i wystąpimy w roli dobroczyńców, musimy naprzód wystąpić w charakterze kogutów i pokrwawić sobie grzebienie. Jest to prolog każdej akcyi społecznej. Nic zmniejsza to naszego animuszu, że rzucamy się na siebie wobec nędzy, wobec niedoli, która łzami i strasznem cierpieniem błaga nas o pomoc — przedewszystkiem sprawa powinna się rozegrać na mensurze. I gdyby chociaż w obecnym wypadku był jakikolwiek powód! P. Suligowski, wspominając o autorach projektu, bynajmniej im nie ubliżał; tymczasem pp. Fritsche i Jachowicz obskoczyli go, jak gdyby mieli do spełnienia jakąś *vendettę*. Jeżeli tak dalej pójdzie, to sprawa opieki nad niemowlętami będzie tylko przyczepką do kłótni osobistej, z której dla dobra społecznego nawet kropla korzyści nie kapnie. Do rzeczy — szanowni panowie — do rzeczy, która nas głównie obchodzić powinna! *O.*

Spór scholastyczny.

Podczas obrad w sekcyi rzemieślniczej Towarzystwa popierania przemysłu i handlu starły się zdania na ważnej kwestyi: czy wykształcenie potrzebniejsze jest ślusarzom, czy też szewcom i krawcom? Pierwsi dowodzą swych wyższych wymagań wiedzy trudnością zawodu, posiłkującego się nauką, drudzy — częstszymi stosunkami z publicznością. Inne wykształcenie uzdalnia do umiejętnej pracy, a inne — do gładkiego obejścia; ażeby jednak nie pokrzywdzić żadnej strony i uszanować szlachetne ambicye obu, proponujemy, ażeby żadnej nie zagradzano drogi do szkoły i ażeby zarówno szewcy i krawcy, jak ślusarze oświecali się, jeśli tego pragną. Spór w tym przedmiocie jest czysto scholastyczny, czczy i dający się przeciągnąć do nieskończoności. Skoro są literaci, nieumiejący gramatycznie pisać i obok nich krawcy, piszący i myślący bardzo dobrze, trudno na jakichkolwiek szalach odważyć sprawiedliwą porcyę wiedzy, potrzebną każdemu zawodowi. *P.*

Próbka bonialuk.

Wspominaliśmy niedawno o nowem badylu, które bujnie rozrasta się na niwie literatury, o t. zw. monologach, wypowiadanych z estrady, a będących bezmyślnymi zlepkami frazesów najpośledniejszego gatunku. Dla okazania czytelnikom wartości tego zielska, wyjmujemy parę listków ze świeżo wydanego wianka. Oto początek monologu *Kamasz:*

„Moja żona, moja ukochana żona, Klementyna Stefania, dwojga imion z Obrąpalskich Drzazga, jest już posiadaczką trojga miłych dzieci... Dwóch córeczek (z *westchnieniem)* i jednego syna (*p. ch.*). Zaraz: Dwa a jeden to trzy... tak, w porządku! A i ja jestem posiadaczem trojga dzieci; bo jej dzieci są także mojemi dziećmi! Mój Boże, ja mam dzieci! No, któżby się tego spodziewał?.. A kto sprawcą, żem się ożenił, spytacie państwo?... Hm... Dziwne to, dziwne... Ale ja zaraz to państwu opowiem... (*p. ch.*). Ona była tak ładną, tak ładną, że ja się w niej... e... tego... jakby to grzecznie powiedzieć?.. No dość, że ja się w niej tego...“

I tak dalej aż do końca, w którym dowiadujemy się, że jedynym swatem między bohaterami bzdurnej opowieści był kamasz.

Druga próbka z monologu *Teściowa*:

„Miałem narzeczoną!.. A tak ją uwielbiałem, że chętnie bym poszedł za nią w dziewicze lasy lub puszcze afrykańskie... Ale to jeszcze nic! Ja ją kochałem... no, co tu długo mówić... Kochałem ją... jak Pompiliusz Numę, albo jak... Romeo Julię! Żebyście państwo wiedzieli, jakie ona miała oczy, jakie oczy! Wielkie, jak nieprzymierzając buldygony... no, a koloru... jakby tu państwu wytłomaczyć... koloru... czarno-niebieskawego, a blasku... fosforycznego!.. Słowo honoru, miała fosforyczne oczy!“

Że autorowie tego rodzaju „literatury“ uważają go za coś artystycznego i wartościowego, przekonywa to, że nietylko swoje płody drukują, ale nawet dedykują. Szczęśliwi, których los obdarzył takim zaszczytem!

Nareszcie..

Nareszcie nasze drogi żelazne, wyważone ze swego chińskiego zastoju coraz głośniej odzywającemi się potrzebami ogółu, ustąpiły naciskowi opinii i dokonały reform w ruchu osobowym. Nie będziemy jeszcze mieli tych ulg i udogodnień, które dawno zaprowadzone zostały gdzieindziej; ale podczas obecnego lata będzie można już na wszystkich kolejach nabywać książeczki z biletami sezonowymi, tańszymi o 30%. Wobec doświadczeń z zupełnem powodzeniem dokonanych za granicą, zbytecznem byłoby dowodzić, że z tej reformy spłyną korzyści wielostronne: koleje otrzymają większy dochód, ogół — tańszą komunikacyę, a okolice, objęte zniżonemi cenami biletów, ożywią się. Kolej Nadwiślańska wprowadziła książeczki imienne i na 40 przejazdów; Terespolska zaś bezimienne i na 20 przejazdów. Te ostatnie są pomysłem daleko lepszym. Imienność bowiem nie zapobiegnie nadużyciom oszustów, a skrępuje ludzi uczciwych. Nadto przy zwykłych, dwumiesięcznych wakacyach, podczas których mieszkańcy Warszawy wyjeżdżają do swych rodzin na letnie siedziby, niewielu może zużytkować 40 biletów. Reszta, która im pozostanie z warunkiem niemożności odstępowania komu innemu, stanowić będzie wydatek daremny i zabierający owe 30%, zyskiwane przy kupnie całej książeczki. Prawdopodobnie też kolej Terespolska w obecnym roku najwięcej ściągnie „letników,“ w następnym zaś inne pójdą muszą za jej śladem. Zaznaczając tę godną pochwały zmianę, przypomnijmy sobie, ile to lat próśb, narzekań, wyrzutów potrzeba było, zanim ona nastąpiła. Aż przykro pomyśleć. *S.*

W dalszym ciągu.

Spór o taksę aptekarską trwa w naszych pismach dalej. Z kolei zabrał głos p. Zieminski w *Kuryerze codziennym*, zastanowiwszy się szczegółowo nad wynagrodzeniem za przygotowywanie lekarstw. Aptekarz — według niego — operując tak drobnemi ilościami, jak gran lub drachma, musi mieć inny zarobek, niż kupcy, którzy sprzedają towar na funty, pudy i cetnary. Nadto czynność farmaceutyczna wchłania wiele pracy i wiedzy. Funt kalomelu np. kosztuje 2 rs. 50 kop.; ale dla zrobienia z tego funta 700 proszków półgranowych potrzeba 7 dni roboty. P. Z. opowiada, że na kongresie farmaceutnenym w Petersburgu pewien aptekarz prowincyonalny przedstawił cetnar zwykłego piasku, rozważonego na proszki 10-granowe i wykazał, że koszt przygotowania ich wynosi kilkaset rubli.

Wszystko to jest słuszne i trzeba przyznać, że aptekarze głosami swymi w polemice rozjaśnili wiele punktów dla ogółu ciemnych i do pewnego stopnia osłabili siłę wymierzonych przeciw nim zarzutów. Pomimo to jednak niewątpliwie sami w duszy przyznają, że taksa lekarstw powinna uledz obniżce. *K.*

Z drogi.

Nowi delegaci do Brazylii nadesłali nową o sobie wiadomość z drogi. Doniesienia te jednak, chociaż odbijają się echem we wszystkich pismach, mogą mieć wartość tylko dla krewnych i znajomych, a całkiem niepotrzebnie zużywają papier i farbę drukarską. Z ostatniego listu p. Glinki dowiadujemy się, że statek „Brésil“ jest bardzo dobrze i wygodnie urządzony, że się kołysze, że wiatr wieje z północy, że wszyscy siadają do wspólnego stołu, że w tej zbytkownej arce niema ani jednego emigranta, że nasi podróżnicy są w dobrym humorze, gdyż mają wesołe towarzystwo i wina *a discretion*. Wszystko to zapewne cieszy przyjaciół pp. Glinki i Chełmickiego, ale dla ogółu jest zupełnie obojętne. Wolałby on może, ażeby ci panowie jechali statkiem mniej wygodnym, ale za to pozwalającym badać ruch emigracyjny. Jeżeli nie od wychodźców, to od służby okrętowej, która nieraz przewoziła transporty ludzkie do

Brazylii, możnaby się dowiedzieć wiele. No, ale czekajmy na dalsze, mniej osobiste doniesienia. *P.*

NA WIDNOKRĘGU.

Odetchnęli swobodniej. — Uprawnienie emigracyi. — Jałowość prasy prowincyonalnej. — Pobudka *Tygodnia*.

Serca przyjaciół ludu, bijące niespokojnie przez całą zimę, teraz już zaczynają uderzać równem tętnem. Złowroga wiosenna fala wychodźcza, mająca unieść z sobą za ocean setki pracowitych, najemnych rąk — nietylko nie dosięgła spodziewanych rozmiarów, ale zagrożona nieprzyjęciem przez okręty Lloydu i rządu brazylijskiego zmalała widocznie. Że do obsiewu pól i uprzątnięcia przyszłego plonu rąk nie zbraknie — wypogadza się długo zasępione czoło znękanego rolnika - przedsiębiorcy. „Odetchnęliśmy swobodniej, policzywszy i ujrzawszy swą czeladź prawie w całości, choć „morze już rozmarzło“: robotnicy pracowitsi i uczciwsi pozostali w domu.“ Taką hosannę wyrzuca ku śmiejącemu się wiosną niebu p. Nekanda-Trepka w *Tygodniu* piotrkowskim. Ale ten tryumfalny okrzyk nie zawiera w sobie radości ziemian w Łowickiem i Łęczyckiem. Pomimo iż Brazylia ma nieprzyjmować wychodźców polskich, pomiędzy Piątkiem (osadą) a Sobotą ogromny ruch panuje śród ludu. „Wyprzedają się ze wszystkich ruchomości i nieruchomości — domy, stodoły, grunt, wszystko i masami wychodzą do Brazylii; w nocy na szosie siadają na furgony żydowskie, po 30 osób na jedną, płacąc po 3 ruble od osoby. Furmani w trzy dni po przewiezieniu za granicę powracają po inną partyę“ (*Tydzień*).

Te i im podobne fakty dowodzą, że energicznie tępionej hydrze wychodźctwa długo jeszcze odrastać będą głowy. Zresztą ruch ten o tyle tylko zmaleć może pod działaniem odpowiednich środków administracyjnych, o ile jest wynikiem sztucznych podnieceń.

Od 9 kwietnia b. r. skutkiem rozporządzenia o uwolnieniu mieszkańców Królestwa Polskiego od opłaty za paszporty emigracyjne, zniesiona została nietylko opłata sturublowa na trzy lata, ale także wydawanie świadectw emigracyjnych uczyniono zależnem od władzy naczelnika kraju, gdy przedtem były one zawisłe od Najwyższego rozkazu, uzyskiwanego w każdym szczególnym wypadku. Teraz emigrujący będzie musiał mieć pozwolenie na wyjazd, to jest przedstawi władzom osobiście swój stan majątkowy i wyłuszczy pobudki skłaniające go do opuszczenia kraju, władze zaś będą je oceniały, czy i o ile są słuszne. Ta drobna na pozór poprawka jest ważną w ruskiem prawie o poddaństwie. „W ten sposób — powiada *Nowoje Wremia* — usuwa się przyczynę utyskiwań na ograniczanie ruchu wychodźczego ze strony władz ruskich, na zatrzymywanie w granicach ruskich obywateli Królestwa Polskiego, mających słuszne powody dla udania się na stały pobyt za granicę.“

Inteligencya zaściankowa znowu ściągnęła na siebie ostry zarzut, że jest sprawczynią jałowości prasy prowincyonalnej, że ta ostatnia z jej tylko winy nie spełnia należycie swego zadania — nie daje dokładnego obrazu społeczeństwa prowincyi. W czynieniu tego zarzutu, jak zwykle, prym trzyma najjałowszy z organów tej prasy, *Kaliszanin*. Czując chwilami wyraźniej czczość swoją, żali się nieborak, że największą z trudności paraliżujących i tamujących jego rozwój — jest brak dobrych współpracowników i korespondentów. I, zwłaszcza co do siebie, ma on wszelką słuszność. Żadne z pism prowincyonalnych, wyjąwszy niekiedy *Gazetę lubelską* i *Gazetę kielecką*, nie budzi tyle litości, co *Kaliszanin*, treść jego bowiem jest bardzo uboga i co gorsza, często z życia prywatnego wyjęta. Robi biedak, co może, byle nie umrzeć z wycieńczenia, wytrzasnął nawet sobie dla urozmaicenia się fejletonistę, ale sądząc z pierwszej jego próbki, wstępu do kroniki tygodniowej, będzie to, bodajbym źle wróżył, nie kronika życia społecznego, lecz raczej rubryka ckliwego ględzenia. Nie zbywa jednak temu pismu na sile ducha obywatelskiego, kiedy miota gromy na obojętność inteligencyi prowincyonalnej, nie zbywa też na słuszności zarzutów, które ci „wincierze“ ściągają na siebie od niego. Odważnie zdziera płaszczyk jednostajności i nudy życia prowincyonalnego, czem oni zasłaniają stępienie swego zmysłu spostrzegawczego. „Nie jednostajność życia na prowincyi zniewala nas do „zakopania talentu,“ ale człowiek-sobek, człowiek-próżniak. Praca zawodowa absorbuje zaledwie małą cząstkę waszego czasu, z którym nie wiecie, co począć. Z początku wprawdzie sumienie wasze, to sumienie inteligentnego człowieka, które go pcha do pracy, do badań ośrodka, w którym się obraca, terenu na którym żyje, kładzie wam pióro do ręki zwłaszcza wówczas, gdy jakiś wypadek, jakiś niezwykły objaw życia was poruszy i wówczas powstają artykuły i przygodne korespondencye, które niby błyski rozświecają pewne strony społeczeństwa prowincyonalnego. Ale są to jeno błyski, które wprędce gasną, pozostawiając tem większe pragnienie dokładnego poznania tego, cośmy dobrze znać winni i wszechstronnie. O teatrze amatorskim, o głośniejszej kradzieży lub morderstwie, o emigracyi dowiadujemy się od was, ale bardzo skąpo udzielacie nam wieści np. o powodach tej emigracyi, która jednak wstrząsnęła całem społeczeństwem i której przyczyny głęboko tkwić muszą, muszą być silniejszemi od tych, które znamy.“ W części tylko można się zgodzić na ten zarzut, pamiętać bowiem winniśmy, że tak ospałość inteligencyi prowincyonalnej, jak wiele innych podobnych zjawisk, ma swoje poważne przyczyny. Wolnemu biegowi myśli odpowiadają drobne, leniwe tętna życia społecznego u nas.

Jakkolwiek zachęta słowna, usiłująca je przez poddawanie myślowe przyspieszyć lub rozbudzić, niewiele może, nie zraża to jednak *Tygodnia* piotrkowskiego, który gorliwie namawia mieszkańców będzińskiego okręgu fabrycznego do założenia dwu instytucyj społecznych: towarzystwa gimnastycznego i czytelni. Czytelnia mogłaby powstać w następujący sposób: „Najlepszym do tego środkiem byłoby na początek wspólne prenumerowanie czasopism, przedewszystkiem beletrystycznych, dla wypoczynku zmęczonych mózgów naszych, a w dalszym dopiero ciągu — pism, omawiających (?) kwestye socyalne, ekonomiczne, polityczne i specyalne techniczne. Czytelnią taką rozporządzałby ktoś przez kolegów do tego wybrany, na którego ręce każdy by składał cząstkę należności nań przypadającej za prenumeratę. Pisma kursowałyby podług raz przepisanej kolei z ręki do ręki i wracały do miejsca, z którego wyszły, dla zachowania ich w koleżeńskiem archiwum, z którego z czasem, w miarę większego nagromadzenia się funduszów, mogłaby powstać o szerszym zakroju czytelnia, w całem znaczeniu tego wyrazu.“ Gdyby ta pożyteczna myśl została urzeczywistniona, projektodawca sądzi słusznie, że byłoby to potężną przeciwwagą knajpy, w której dotąd marnują będzinianie swój wczas.

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych zajęło się sprawą wykorzenienia żebractwa w ważniejszych miastach państwa.

— *Dzień* donosi, że specyalna komisya zajęta zniesieniem serwitutów w guberniach północno i południowo-zachodnich, rozpoczęła już swoje czynności.

— Ogłoszony został przepis, na mocy którego wszelkie wynagrodzenia, przyznane sądownie robotnikom za poniesione przy pracy uszkodzenia, winny być wypłacone w całości, bez jakiegobądź potrącenia zapomóg, wydanych uprzednio przez fabrykantów.

— Przy inspekcyach fabrycznych mają być utworzone oddzielne komisye, których zadaniem będzie czuwanie nad uczniami rzemieślniczymi i dozór pod tym względem właścicieli warsztatów.

— Dr. Guliński, autor projektu zakładania kantorów mamek pod ścisłą kontrolą lekarską przy przytułkach położniczych, wyjednał zezwolenie tytułem próby, aby przy jednym przytułku taki kantor powiadomczy otworzyć. Zacznie on funkcyonować z d. 1 lipca w przytułku położniczym przy ul. Zielnej, pod osobistą opieką samego projektodawcy. Osoby chcące dostać mamkę będą składały 5 rs. wpisowego, od kandydatek zaś żadna opłata nie będzie wymagana.

— Niebawem zaczną działać w guberniach południowo-zachodnich komisye archiwalne.

— Rada państwa zatwierdziła projekt osad karnych na wyspach morza Kaspijskiego dla mieszkańców Kaukazu, Turkestanu i kraju zakaspijskiego, którzy nie znoszą ostrego klimatu Syberyi i Sachalinu.

Sprawy najemnicze. Według telegramów *Kuryera warszawskiego* międzynarodowe święto robotnicze w d. 1 maja miało następujący przebieg w zachodniej Europie: Dzień ten w Wiedniu zeszedł bez zakłócenia spokoju. W Praterze zgromadziło się około 100,000 robotników. Również i w Bruksell do zaburzeń nie przyszło. W Rzymie po południu na placu Santa Croce odbył się meeting robotniczy, przyszło do starcia z policyą, przyczem jeden policyant został zabity, a czternastu żołnierzy i ajentów policyjnych raniono. W Hiszpanii, z wyjątkiem Barcelony, manifestacye robotnicze przeszły spokojnie. W Berlinie manifestacye również minęły spokojnie. Najburzliwsze one były, jak zwykle, we Francyi. Gdy rozmaite deputacye robotnicze znalazły się w gmachu parlamentu celem wręczenia petycyi, zażądały tłumnego ich dopuszczenia, czego im odmówiono. Na placu Zgody w Paryżu były zbiegowiska, gromadka ludzi wykonała manifestacyę przed jednym z komisaryatów policyjnych. Gdy policya natarła, dano kilka strzałów rewolwerowych. W Fourmies (departament Nord) nastąpiło starcie z wojskiem, które strzelało do ludu. W Lugdunie także przyszło do starcia, kilku żołnierzy zginęło, a wielu policyantów raniono. Żołnierze nie strzelali. W Bordeaux aresztowano wiele [illegible]

Komunikacye. Francya, zachęcona świetnymi wynikami taryfy strefowej w Węgrzech, ma wkrótce zaprowadzić ją na swoich kolejach żelaznych. Minister robót publicznych, Yves Guyot, nim tej doniosłej reformy dokona, zawarł najpierw z wielkiemi towarzystwami ugodę, na mocy której zniża podatek dotychczas pobierany od biletów pasażerskich o 12%; ponieważ i towarzystwa ze swej strony zniżają taryfę osobową o 12%, zasadą więc francuskiej reformy będzie zniżenie kosztów przejazdu o 25—30%.

— Brzegi Szwecyi połączone zostaną niebawem z duńskimi — tunelem podmorskim. Wyżłobiony on będzie pod dnem sundu między Helimburgiem (w Szwecyi) a Elsinore (w Danii). Długość jego wyniesie 4 kilometry, koszt budowy wraz z drogą żelazną sięgnie [illegible]

— Pociągi błyskawiczne, świeżo wprowadzone między Petersburgiem a Wiedniem *via* Warszawa, kursować zaczną w d. 18 b. m. Na przestrzeni od Petersburga do Warszawy i Austryi, od Trzebini do Wiednia, znajdować się będą w nich wagony sypialne.

— Hr. Wład. Bandrowski rokuje z rządem austryackim w sprawie budowy kolei dojazdowej z Tarnopola do Zaleszczyk z odnogami do Skały, Iwonia i Tłustego.

— W Petersbugu powstała osobna komisya, mająca przeprowadzić rewizyę ogólnej ustawy kolei żelaznych.

— Kolej konna podmiejska z Warszawy do Czerniakowa (wilanowska) będzie otwarta dla publiczności w tym tygodniu, ale tylko od rogatek do Bogucina.

— *Petersb. wied.* donoszą, iż od służby ruchu na kolejach żelaznych wymagany będzie na przyszłość egzamin, według szczególnego programu składany.

— Została opracowana ustawa szkoły dla palaczów kolejowych, która będzie otwarta w Petersburgu.

— Komitet ministrów przyjął jednogłośnie projekt budowy kolei riazańsko-kozłowskiej.

— Sprawa biletów okolnych (*Rundreisebillets*) na kolejach z ustępstwem 30% ceny zwykłej, jak *Now. wr.* donosi, została ostatecznie rozstrzygnięta. Ułożono dotąd serye marszrut, mających za punkty wyjścia Petersburg i Moskwę. Niektóre zarządy kolejowe mają podobno udzielać tych biletów już w końcu b. m.

— Na kolei warszawsko-petersburskiej odbędą się wkrótce próby telefonu pomiędzy stacyami: Warszawą, Grodnem i Wilnem. Także próby podjęte będą i na linii — pomiędzy Wilnem, Dynaburgiem i Petersburgiem.

— Zamierzono zorganizować kontrolę nad listonoszami. Polegać ona ma na wprowadzeniu odpowiednich marek, na których robione będą adnotacye, mające wskazywać, o ile listy są niezwłocznie doręczane odbiorcom.

Nauka. W przyszłym roku szkolnym w okręgu petersburskim zamierzono przeprowadzić szereg badań kraniometrycznych i antropologicznych nad uczniami szkół początkowych i średnich.

Wynalazki. Elektrotechnik, p. Sokołowski, w Petersburgu wynalazł latarnię elektryczną dla oświetlenia podwodnego.

— Jeden z rytowników petersburskich, p. Borikow, wynalazł nowy sposób rytowania elektrycznością.

— Tamże technik Czechowski wynalazł dowcipny aparat, ułatwiający wciąganie wozów w górę.

— Mieszkaniec Warszawy, p. B., wynalazł emalię do powlekania i utrwalania zębów.

Zjazdy. Międzynarodowe konferencya przeciwniewolnicza w Brukselli rozpoczęła swoje prace. Imieniem kardynała Lavigerie przemawiał koadjator jego, Brincat.

— W Paryżu odbył się międzynarodowy kongres kobiecy. Zjazdowi temu przewodniczyła uczona Klemencya Royer. Uchwalono urządzenie gościnnego domu dla wszystkich kobiet, potrzebujących schronienia.

Wypadki. W kopalni Mozarron (Murcya) w Hiszpanii, w szybie „Impesanda," skutkiem wybuchu gazów, dnia 17 z. m. 20 górników poniosło śmierć. W sąsiedniej wiosce Poderosa, w szybie „Santa Rosa," dnia następnego zginęło zaduszonych ulotami (gazami) 23 górników.

Zdrowie publiczne. Wydawanie bezpłatne lekarstw ubogim, zamierzone przez warszawskie Tow. dobroczynności, zostało uznane przez władzę. Na początek środki wydawane będą w szpitalach św. Ducha, Dzieciątka Jezus i Wolskim, potem, w miarę zasobów pieniężnych przyjdzie kolej i na inne.

— Komisye sanitarne dopełniły rewizyi w 110 zakładach spożywczych m. Warszawy i w 23 znalazły nieświeżą żywność oraz niepobielane naczynia, za co właściciele pociągnięci zostali do odpowiedzialności sądowej.

— W Petersburgu zawiązuje się stowarzyszenie spożywcze przetworów mlecznych. Wszystkie, zanim dostaną się do składów stowarzyszenia, podlegać będą analizie chemicznej w specyalnie ku temu urządzonych stacyach doświadczalnych.

— Komisya, zajmująca się w Petersburgu uregulowaniem stosunków zdrowotnych w fabrykach, zwróciła głównie uwagę na następujące punkty: 1) rodzaj produkcyi fabrycznych szkodliwych dla zdrowia robotników; 2) robota nocna i zbyt wyczerpujące siły fizyczne dyżury; 3) obowiązkowe utworzenie przy fabrykach przytułków położniczych, ochron itd.; 4) niedostateczna liczba sypialń oraz niezadawalający stan lokalów robotniczych; 5) urządzenie łaźni oraz miejsc ustępowych; 6) niehygieniczne warunki pożywienia; 7) brak prawidłowej pomocy lekarskiej; 8) wpuszczanie odpadków do ścieków i 9) niedostateczne zabezpieczenie mechanizmów, środki ochronne od ognia itd. Komisya opracowała odpowiedni projekt zmian w obowiązujących obecnie przepisach fabrycznych, z uwzględnieniem wymienionych punktów.

Oświata i szkolnictwo. Ministeryum oświaty złożyło Radzie państwa projekt przywrócenia w Petersburgu kursów lekarskich dla kobiet, pod nazwą „Instytutu medycyny." Od kandydatek wymagany będzie egzamin dojrzałości z językami starożytnymi — wiek najmniej 20, a najwięcej 35 lat.

— Dr. Władysław Natanson z Warszawy, autor *Wstępu do fizyki*, otrzymał docenturę w uniwersytecie krakowskim.

Sprawy teatralne. Według *Warsz. Dziennika* w d. 13 b. m. przybywa do Warszawy nowa trupa ruska pani Sawinowej, artystki teatrów petersburskich i da w teatrze Letnim 5 przedstawień.

Sprawy ekonomiczne. Ponieważ w lipcu r. b. zacznie obowiązywać nowe prawo o drobnych gorzelniach wiejskich, ministeryum finansów opracowało dwa oddzielne typy tych gorzelni: jeden dla gub. południowo-zachodnich i Królestwa Polskiego, drugi dla pozostałych gub. Cesarstwa.

— Jak wiadomo, na zastaw ładunków zbożowych koleje mają prawo przy pomocy Banku państwa i własnych funduszów eksploatacyjnych udzielać pożyczki. Także prawo uzyskała świeżo kolej petersburska.

— W ostatnich czasach podniosła się znacznie eksploatacya pokładów platyny w Rosyi, skutkiem zapotrzebowania tego kruszcu za granicę i podniesienia jego ceny do 12,000 rs. za pud.

— Stowarzyszenie spożywcze „Oszczędność" w Radomiu liczyło w r. z. 152 członków. Obrót handlowy zmniejszył się o rs. 1,328 rs. 86 kop.; lecz zysk czysty, skutkiem zaprowadzonych oszczędności, wzrósł o 34 rs. 75 kop., a mianowicie przyniósł rs. 304 kop. 25.

Zmarli. Stefan Hermanowicz, b. prezes prokuratoryi Królestwa Polskiego.

— Ferdynand Gregorovius, znakomity historyk niemiecki (*Historya Rzymu w wiekach średnich* itd.), w Monachium.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Filpowi. Wiersz Pański ma bardzo wiele zalet, ale drukować go nie będziemy.

J. D. Gdyby utwór pański był tak jasny w treści, jak jest błyszczący i barwny w formie, przyznalibyśmy mu wielką wartość. Ale niestety jest on zmącony, niewyklarowany, nie ustalił się w myśli autora. Niech Pan pracuje nad poezyą i naśladuje Shelleya, ale nie usiłuje przewyższyć go mglistością.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 26 Апрѣля 1891 Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.